

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LXI

WARSZAWA, DNIA 1 GRUDNIA 1928 ROKU

NR 49

TREŚĆ NUMERU: Na drogach emancypacji—*Zofia Miszewska*. Liga reformy postępowania honorowego—*Natalja Jastrzębska*. Nieco o pracy — *M. H. Szpyrkówna*. Poezje: „Odjazd” — *Felicja Kruszevska*. Rafałek i Dulcinea (nowela) — *Felicja Kruszevska*. Kamienie w ogniu (dok.)—*Adam Fag*. Korespondencja z Anglii — *H. S.* Wystawa doroczna w Związku artystów-plastyków — *I. J.* Z życia ekranu — *Stef. H.* Kobieta w świecie i w domu—*J. k.* Badania psychologiczne w szkołach powszechnych w Warszawie—*Marja Grzywań-Kaczyńska*. Jaki powinien być bilet wizytowy—*N. J.* Poświęcenie kamienia węgielnego pierwszej w Polsce stacji doświadczalnej jedwabniczej—*Jadwiga Kiewnańska*. Stylizacje — *Wanda Młodożeńcowa*. Odżywianie a zdrowie — *Marja Morzkowska*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dodatek „Mody i roboty”: Bluzki—*Well*. Dodatek powieściowy „Oblubieńcy” — *M. Benisławska*. Arkusz wzorów.

NA DROGACH EMANCYPACJI

Usamodzielnienie kobiet w stosunku do społeczeństwa wogóle, a do mężczyzn w szczególności, jest sprawą, do której należy podchodzić bardzo ostrożnie i delikatnie. Trzeba ją, bowiem, ująć w ręce w taki sposób, aby nie rozsypała się na tysiąc kwestyj i kwestijek, które może same w sobie są słuszne i niesłychanie mądre, ale razem nie mogą stworzyć tego, tak ciężkiego gatunkowo słowa, jakim jest emancypacja. Przedewszystkiem, zasadnicze pojęcie emancypacji jest bardzo zmienne i przypomina naczynie o stałej, pełnej harmonii formie, która jednak co jakiś czas zmienia swą zawartość.

Emancypacja zawsze była słowem, że się tak wyrażę, sztandarowym, okrzykiem bojowym całego szeregu kobiet, które miały w sobie niczem nieprz tłumiony temperament walki, o jakąś najbardziej „swoją” sprawę („swojość” sprawy dla kobiet rzadko kiedy jest sprawą jej własnej płci, w tym wypadku jednak tak było).

W życiu zaś ludzkiej, a szczególnie polskiej „ideowości” i poszukiwaniu entuzjazmu,—emancypacja, jak dziś, tak i zawsze, grała niepoślednią rolę. Była to jednak tylko forma, zewnętrzność, skupiona na nazwie, która samym dźwiękiem czarowała i podniecała. Istota rzeczy, treść nazwy, była właśnie tą płynną zawartością, zmieniającą raz poraz swoją jakość, a kryjącą się zawsze w cieniu wielkiego słowa — nazwy. I na tem właśnie polega całe nieporozumienie, że kobiety wojujące nie zastanawiają się nad tem, iż nie wolno wielkich kapitałów wymieniać na miedzia-

ki, bo wtedy pod nazwą emancypacji przemycają się błahostki, czysto zewnętrzne cechy danego zagadnienia, z istotą kobiecej swobody nie mające nic wspólnego.

W życiu idei, tak jak i w życiu ludzi, następują chwile przełomowe, okresy przewartościowywania dotychczasowych wartości i rewizja rezultatów.

Taki okres nadszedł właśnie dla idei emancypacji: to, co było upragnionem dawniej, dziś jest albo już pozyskane, albo stało się nieważne; nasuwają się bowiem coraz to nowe zagadnienia. Niestety! kobiety uparcie kroczą utartym szlakiem, pomijając sprawy najpilniejsze na korzyść spraw może dawniej wielkich, ale dziś już małych i skarlałych.

Zastanówmy się, czy chodzi o uzyskanie praw człowieka, czy o upodobnienie się do mężczyzny? Czy o zdobycie jaknajszerszego gestu w życiu społecznym i politycznym, czy o uzyskanie pozwolenia na bezmyślne, a często zbyteczne naśladownictwo męskich poczynąń?

Nasze prababki, będące pionierkami emancypacji, często mieszały ze sobą pojęcia formy i treści; ale im się to jeszcze wybaczało: zbyt nagle olśniła je fala nowych myśli, aby mogły spokojnie i rozsądnie odróżniać ziarno od plewy i odrazu znaleźć swoją drogę. Zresztą, błędów tam wielkich nie było, gdyż kwestja kobieca leżała wówczas odłogiem, i czego się było jąć, natrafiało się na sprawę istotną i ważną, a w tej powodzi spraw ważnych, niewielkim grzechem było przemycenie czegoś cokolwiek mniejsze-

go, ale zato niezmiernie miłego dla próżności kobiecej.

Kobiety współczesne, natomiast, przeszły już dobrą szkołę samodzielnych myśli i czynów i nie wolno im już mylić się w obieraniu ideowych zagadnień. Sprawy trzeba zacząć odnowa, tak jak odnowa zaczęło się życie Polski, i punkt po punkcie rozważyć ich istotność.

Pojęcie emancypacji zostało to samo, tak samo znaczy walkę o swoje, ale jego treść wczorajsza nie nadaje się już dla dnia dzisiejszego. Jedna tylko sprawa została nienaruszona od wczoraj: jest to sprawa czynnego udziału kobiet w życiu politycznym; wywalczyło się już dużo, ale jeszcze ciągle trzeba przebijać mur nieufności ludzkiej, który, Bóg wie, jak długo jeszcze trwać będzie.

Natomiast, jeżeli chodzi o prawo w życiu społecznym i ekonomicznym, to właśnie mamy ciekawy objaw upartego trzymania się starych szablonów: przedewszystkiem walczymy o pracę. W dobie prababek wywalczenie sobie prawa pracy dla kobiet, gdy pracowały tylko kobiety samotne i gdy wogóle sprawa ta wydawała się czemś nieosiągalnym, było bardzo racjonalne. Dziś, de facto kobiety wtargnęły prawie we wszystkie działy pracy męskiej, a mimo to, siłą rozpędu walczą ciągle o to samo, chcąc rozszerzyć granice swych możliwości aż do... absurdu. Nie, nie cofam tego mocnego słowa, gdyż absurdem wydaje mi się wywalczenie tych rodzajów pracy, którym nie mogą dać rady kobiety, choćby jako słabsze fizycznie od mężczyzn. Kobiety powinny sobie powiedzieć: „to dla nas, a to nie”—bo ten bezmyślny, łakomy nowość pęd nie jest niczem innym, jak tylko snobizmem, zawierającym się w słowach „narówni z mężczyzną”. Przytem jest to kręcenie powróśla na swoją szyję: praca „narówni z mężczyzną” tak dalece rozpałała główki niewieście, że zapragnęły jej skosztować nawet te, które bynajmniej nie są do tego zmuszone; i oto siłą rzeczy tworzy się niekiedy dziwna sytuacja: kobieta pracuje, utrzymuje dom, dzieci i... męża. No, bo jeżeli chce, koniecznie!—Dzięki takiej sytuacji, nie tylko że nie ma czasu na racjonalne wychowanie dzieci i zajęcie się domem, ale wywraca porządek społeczny, ale bierze na swoje barki ciężar, przechodzą-

cy jej siły. Czyż nie rozsądniejszym byłoby, zamiast walczyć bez przerwy o nowe dziedziny pracy i wkra-
czać wszędzie, gdzie się tylko da—ulepszać położenie kobiet pracujących w zdobytych już zawodach? Dlaczego kobiety pracujące nie są traktowane narówni z personelem męskim? Dlaczego są gorzej płatne, dlaczego są wyzyskiwane, dlaczego prawie nigdy nie dochodzą do stanowisk kierowniczych? Bo chodzi im o nazwę, nie o treść, bo godzą się pracować za gorszym wynagrodzeniem, byleby „narówni z mężczyzną”.

Doskonale rozumiem, że często powodem tego są ciężkie warunki materialne, ale solidarny opór napewno dałby pożądane rezultaty.

Logika kobiet zatracą się w tak zwanym „owczym pędzie”. Walczono o wyższe studia dla kobiet—i oto uniwersytety zalał nierozsądny tłum, idący bezmyślnie śladami mężczyzn, często ze swoją własną szkodą; działaczki polityczne, ledwo zdobyły forum publiczne dla swoich celów, poczęły „tak, jak mężczyźni” ścierać się z przeciwnikami politycznymi i walczyć jedną z najokropniejszych broni, jaką jest rozdmuchiwanie nienawiści społecznej. Na żadnym polu nie mogą odnaleźć swojej własnej, indywidualnej twarzy, nie mogą wnieść świeżego elementu nowych sił i nowej psychiki. Samodzielność kobiety jest utopją: dawne niewolnictwo przejawia się obecnie w nowej formie: w formie niewolniczego naśladowania. Nie umiemy się jeszcze, widać, zdobyć na żadną odrębność i tem właśnie najbardziej podkreślamy swą zależność od mężczyzn: poprostu uważamy ich za jedyne i doskonałe wzory. To też mężczyzna daje nam łaskawie wszystkie prawa i przywileje, bo wie, że on i tak pozostanie na miejscu naczelnym. W rzeczywistości nie boi się on rywalizacji, gdyż nie przypuszcza, by życie mężczyzny i kobiety mogło się ułożyć, jako współpraca równego z równym, ponieważ kobieta zawsze będzie wstępowała „w ślady” mężczyzny.

Myślę, że warto byłoby go przekonać, iż musi być inaczej. Należy tylko zerwać z frazesem, z pustą formą bez treści, a zdobyć się na jakiś własny wyraz w życiu społecznym i politycznym. A kobiety mają na to bardzo wiele danych.

Zofja Miszeńska.



NATALJA JASTRZĘBSKA

LIGA REFORMY POSTĘPOWANIA HONOROWEGO

Sprawa odpowiedzialności honorowej kobiet, zainicjowana przez grono działaczek, związanych ze Stow. Rodziny Wojskowej, poruszana w „Bluszczu” w całym szeregu artykułów, rozszerza się coraz bardziej i. co ważniejsze, pogłębia się sama jej istota i zadania, które początkowo groziły wejściem na pewną, niekorzystną dla tej poważnej idei, drogę wyłączności. Przekonanie społeczeństwa o tem, iż kobieta jest człowiekiem, posiadającym pełnię praw honorowych, powstało, jak to już zaznaczono, w gronie członków Tow. Rodziny Wojskowej. Były potem b. ważne, życiowo konkretne i racjonalne powody.

Korpus oficerski poddany jest bardzo surowym przepisom odpowiedzialności honorowej i reagowania na każdą, drobną nawet, obrazę; wobec zaś zasady, uznanej przez dzisiejsze kodeksy honorowe, że obraza rodziny jest najcięższą zniewagą, t. zw. obrazą czwartego stopnia,—za każdą z kimkolwiek scysję żony, siostry, narzeczonej oficera—odpowiada on sam.

Jest to rzeczywiście, jak mówi francuskie przysłowie: „zbytek bogactwa”—do wszystkich zajęć, wynikających z różnic politycznych, stosunków osobistych, zawodowych, służbowych, etc. etc., dochodzą jeszcze ploteczki, krytyki, niechęci, t. zw. „babskie”, obostrzone znaną, a wynikającą w znacznej mierze właśnie z owej nieodpowiedzialności—niepowściągliwością kobiecego języka. Zachodziły na tem tle fakty niesłychanie smutne, a jednocześnie rozpaczliwie śmieszne, kiedy np. sekundanci dwóch stron wysilali się, aby znaleźć jakieś wyjście, niedopuszczające do rozlewu krwi, a jednocześnie dwie panie, które spowodowały zajście, zdążyły się już pogodzić, co, niestety, bliskich im mężczyzn od odpowiedzialności nie uwalniało i rozpoczętych pertraktacyj pojedynkowych przerwać nie mogło.

Te i tym podobne bolączki skłoniły członkinie Rodziny Wojskowej w pierwszym rzędzie do zajęcia się tą sprawą i postawienia postulatu honorowej odpowiedzialności kobiety. Naturalnie, że idea ta znaleźć musiała szeroki oddźwięk we wszystkich sferach kobiecych — nie do pojęcia jest dziś, bowiem, zasada, aby kobieta, posiadająca równouprawnienie polityczne i społeczne, pracująca samodzielnie zawodowo, była małoletnią tylko na punkcie najistotniejszej wartości moralnej człowieka — honoru, aby odpowiedzialną za swe słowa i czyny była nie ona, lecz mężczyzna—jej krewny, często np. syn, zaledwie pełnoletni, a w braku krewnego, mężczyzna, z którym szła pod rękę (art. 192 i 193 kodeksu Boziewicza).

Te nonsensy już dziś tak odstają od życia, że budzi się przeciw nim ogólna i bardzo ostra reakcja, której wyraz znajdujemy w całym szeregu artykułów w prasie. Sprawa jest w całym tego słowa znaczeniu na porządku dziennym.

Inicjatywa więc działaczek Rodziny Wojskowej weszła odrazu w fazę czynną; przyłączyły się do niej znane członkinie różnych stowarzyszeń kobiecych i powstał Komitet Organizacyjny Ligi odpowiedzialności honorowej kobiet.

Idea ta, aczkolwiek tak niezmiernie słuszna i życiowo do wprowadzenia w czyn konieczna, budziła jednakże w ówczesnej fazie organizacji Ligi pewne zastrzeżenia, wynikające z samej natury rozstrzygania sporów honorowych.

Bo kwestja ta jest niewypowiedzianie trudna do rozwiązania.

Pomimo, bowiem, wszelkich sprzeciwów rozumowych i humanitarnych przeciwko pojedynkowi, nie znaleziono dotąd nic lepszego na jego miejsce. Sądy honorowe, oparte w zupełności na kodeksie pojedynkowym, nie posiadają żadnego autorytetu, jeżeli chodzi o danie satysfakcji za obrazę; kodeks obecny za ciężkie zniewagi wymierza kary, zupełnie do winy niewspółmierne, a natura większości sądzonych na tej drodze spraw jest tego rodzaju, że żaden człowiek z trochę delikatniejszą konstrukcją psychiczną tego sposobu nie użyje. Sądy obywatelskie i zwoływane ad hoc sądy honorowe, nie pojedynkowe, mają egzekutywę moralną jednostronną, a właściwie—żadnej. Cóż bowiem pomoże taki wyrok, jeśli strona osądzona i liczne grono jej zwolenników go zlekceważy, a opinja publiczna nie poprze?

To też od wieków całych występując przeciwko pojedynkom, tolerowano je jednak milcząco — miały bowiem za sobą powagę pradawnego obyczaju — egzekutywę moralną; obawiano się ich, co wpływało na unikanie dawania do nich powodu, na trzymanie się na wodzy, przynajmniej do pewnego stopnia.

Otóż w tych warunkach niezmiernie trudnem zadaniem jest należyte postawienie odpowiedzialności honorowej kobiet. Cóż bowiem zrobić? równouprawnić je, znosząc dotychczasową zasadę kodeksu honorowego „la femme est impropre au duel”, dać im prawo pojedynku? — Nonsens! Tworzyć sądy honorowe kobiet? Rzecz mało wykonalna—miałyby one bowiem jeszcze mniej egzekutywy od dotychczasowych instytucyj tego rodzaju, dla mężczyzn. Doprawdy, problem kwadratury koła.

Okazuje się, jednak, że znaleziono sposób wyjścia. Sposób ten, jak wszystkie ludzkie poczynania, nie jest może doskonały, ma jednak w obecnym stadium akcji duże szanse powodzenia.

Inicjatorki Ligi potrafiły, mianowicie, zainteresować nie kobiety wyłącznie, ale wielu najwybitniejszych przedstawicieli organizacji społecznych, naukowych, działaczy, posłów, młodzież akademicką i prętworzyć pierwotnie projektowaną Ligę praw honorowych kobiet na „Ligę Reformy postępowania honorowego”.

Tak postawiona sprawa jest istotnie kwestją humanitarno-społeczną pierwszorzędnej wagi. Nikt nie może zaprzeczyć, iż jeśli szerokie sfery społeczeństwa, zrzeszone we wszelkich rodzajach organizacji, zawodowych, naukowych i kulturalnych — uznają potrzebę reformy dzisiejszego postępowania honorowego i przyjmą opracowany przez ich w tym zakresie ekspozyturę, Ligę, kodeks honorowy za miarodajny — wówczas stworzy się obyczaj powszechny i silna egzekutywa moralna ogółu, która będzie mogła zastąpić dawne prawo pojedynekowe.

O to bowiem właściwie chodzi. Jeśli opinja ogółu uzna pojedynek za przeżytek, jeśli wszystkie organizacje przyjmą jedną drogę postępowania honorowego, wtedy dopiero każdy pojedyńczy człowiek będzie miał pewność, iż może bronić swego honoru nie z bronią w rękę, lecz w inny, bardziej humanitarny, demokratyczny i zgodny z nowoczesnymi pojęciami, sposób.

Samo się przez się rozumie, że statut Ligi uznaje kobiety za równouprawnione i honorowo odpowiedzialne. Orzeczenie to stanowi pierwszy paragraf statutu, który został już przez władze zalegalizowany. W połowie przyszłego miesiąca odbędzie się walne zebranie Ligi, zorganizowane przez komitet, w którego skład wchodzi wybitni przedstawiciele wszystkich sfer społecznych.

Najbliższem zadaniem nowej instytucji jest opracowanie powszechnego kodeksu honorowego, opartego na nowoczesnych zasadach demokratycznych, uznającego honorową odpowiedzialność kobiet i równość obywatelsko-społeczną. Kodeks Bożewicza bowiem twierdzi, iż człowiek szlacheckiego pochodzenia uważany być musi za gentlemana, choćby nawet czytać i pisać nie umiał; podczas, gdy nieszlachcic jest zdolny do odpowiedzialności jedynie w tym wypadku, jeśli skończył szkołę średnią! Z tym i temu podobnymi absurdami, od których roi się w owym osławionym kodeksie, walka nie będzie trudna. Każdy człowiek, niepozbawiony rozumu, oddawna już właściwie je ocenił.

Pozatem, Liga zamierza przez wszystkie związane z nią organizacje (na członków przyjmowane są, w myśl statutu, stowarzyszenia) dążyć do pokojowego załatwiania zatargów honorowych.

Bardzo ważnem taktycznem posunięciem Ligi jest planowane dążenie do podwyższenia sankcyj karnych za obrazę czci. Jeżeli uda się zrealizować ten postulat, honor ludzki zyska istotnie opiekę prawa i to znów bez różnicy płci: kobieta jest, bowiem, wobec kodeksu cywilnego prawie, a wobec karnego zupełnie równouprawniona.

A właśnie ta sprawa odpowiedzialności wobec prawa państwowego jest jedną z najważniejszych, ono bowiem jedynie posiada właściwą egzekutywę. Bezwzględnie wielką jest siła obyczaju, opinii powszechnej; najlepszym tego dowodem jest właśnie trwanie od tylu wieków pojedynku. Bywają jednak ludzie, idący wbrew opinii, lekceważący ją i, co gorsza, ludzie tacy tworzą często wkoło siebie grono swych stronników. Mamy tego aż nadto liczne przykłady w stronnictwach politycznych i w robocie społecznej.

Otóż sankcja karna jedynie nałożyć może tym niespokojnym duchom wędzidło, aby ludzkiego honoru nie szarpały.

Co do sprawy kobiecej specjalnie, to nowa Liga jest jednym z najlepszych czynników rozwoju kobiety w życiu społecznym, politycznym, zawodowym, a nawet towarzyskim. Konieczność liczenia się ze słowami, surowego normowania swych zdań sprawdzianem rozsądku i powściągliwości, powstrzymywanie wybuchów kaprysu, fantazji, nieusprawiedliwionych krytyk i antypatyj — wszystkie te wady, któremi dotychczas tak często grzeszył ogół kobiet i najbardziej nawet skądinąd wartościowe jednostki, — muszą ulec zasadniczej poprawie.

A nowy kodeks honorowy Ligi zrobi dobrze i mężczyznom, bo i oni mają również często zły... temperament, kryty dotychczas obyczajem „rycerskiej” satysfakcji. Wytrzymać trzy minuty pod lufą, albo dziesięć w starciu szermierczem, nie jest znów dla człowieka odważnego taką ostatecznością, zyskując jeszcze za to aureolę bohatera; ale narazić się na poważną sprawę sądową, lub potępiający wyrok wszystkich organizacji społecznych! to zupełnie co innego.

I znów, jak już tyle razy, w różnych poczynaniach humanitarnych i społecznych, inicjatywa i czyn kobiecy zapoczątkowały działalność, w której sprawa kobieca łączy się z wielkim, doniosłego znaczenia, interesem ogółu.



M. H. SZPYRKÓWNA

NIECO O PRACY

Amerykanie są narodem cudownym. Są obdarzeni od losu — czy może wpływa na to klimat ich kraju?! — przedziwną właściwością sprowadzania rzeczy i spraw najbardziej abstrakcyjnych do poziomu praktycznego, a z drugiej strony — do przeduchowania i syntetyzowania najdrobniejszych i poziomych napozór spraw codziennej rzeczywistości. Jestem pewna, że z anielskich piór, gdyby takowe stały się dostępne, amerykańnik obmyśliłby specjalną, ulepszoną miotelkę do porządków kościelnych. Ale znowu każdą miotelkę, ludzką czy nadludzką, robi w ten sposób, aby przy minimum kosztu dawała maximum wygody, trwałość przy łatwości manipulowania, a po najdłuższym użyciu, aby można z kilkunastu miotelek skonstruować, powiedzmy, poduszkę dla zasłużonego kota.

Otóż w myśl tej celowości wszelkiego odruchu życiowego, książki amerykańskie roją się od przepisów i pouczeń, jak to codzienne życie uczynić najbardziej wydajnym i najwięcej celowym, jak wyzyskać najlepiej włożone w człowieka i jego otoczenie możliwości. Rozwinęła się tam specjalna wiedza, którą możnaby nazwać: wiedzą życia — a która u nas raczej jeszcze ząbkuje. Tam życie jest już oddawna rozważone, jako rodzaj kasy pożyczkowej, z której solidny obywatel może czerpać do nieskończoności, o ile przedstawia odpowiednie gwarancje moralne. Systemem amerykańskim, każdy człowiek powinien prosto, w imię rozsądku, tak sobie ułożyć doczesne życie, aby nie tylko wyzyskać wszystkie możliwości zewnętrzne, ale jeszcze tyle samo lub więcej pamiętać o niewidzialnej nadbudowie człowieka ziemskiego, zwanej: duszą, życiem przyszłym lub tysiącem innych terminów. Wszystkie jednak zmierzają do pojęcia, że tutejsze bytowanie jest niejako miejscem, gdzie człowiek jest moralnie i duchowo poniekąd na dorobku — i że kapitał, jaki zdoła pracą nad własnym udoskonaleniem uzyskać dzień po dniu, otwiera mu wstęp dopiero do mniejszych lub większych osiągnięć po tamtej stronie; a i po tej również: w myśl popularnych w Ameryce, a trzeba zaznaczyć, bardzo zdrowych społecznie teorii — dobro, prawda, prawość postępowania, uczciwość w interesach — są bezzawodną drogą do wolniejszego może, ale bezwzględnie pewnego osiągnięcia w doczesnym nawet urządzeniu swoich spraw. Drobnie oszustwa, kłamstwa i szwindle w charakterze drobnego anglosaksy nie leżą: raczej już — wielkie i wielomilionowe skandale, któremi rozbrzmiewa prasa. Wiadomo, że w tak olbrzymim mieście, jak Chicago, liczącym więcej zbrodni, niż jakoby, wszystkie stolice europejskie razem, gospodynie z wieczora kładą na okienko kuchenne od korytarza

schodowego pieniądze, wypadające im z rachunku na rzeźnika, mleczarza, zieleniarza i t. d. Jest tam zwyczaj, że wszystkie te produkty są dostarczane do domu w umówionych ilościach na zamówienie telefoniczne lub z umowy. I mleczarczyk odbierze swoje centy, zieleniarz — swoje, a jeszcze inny — swoje. Są to drobne sumy, ale czyż u nas najdrobniejsze grosze, zostawione na widoku publicznym, byłyby możliwe do ocalenia?! Otóż tam o takie sumy nikt się nie pokusi, bo... dobrobyt jest względnie za dostateczny, a kary za drobne szwindle zbyt surowe, aby to się nawet kalkulowało. Na rogach ulic gazety są nieraz zostawione samopas, przyciśnięte od wiatru kamkami i z kupką centów oraz ceną na każdej. Chłopak może gdzieś poleciał, a pewnie — gra w football gdzieś za rogiem kamienicy. Sama niejednokrotnie odliczałam takie centy, biorąc sobie resztę i wijąc się po europejsku ze skrępowania, że ktoś może pomyśleć, iż biorę więcej. Tak samo, kiedy z Rosji przyjechałam do Polski, przerażało mnie bezmiernie, że w sklepach tu i ówdzie przy braku jakichś drobnych, kredytowano klientowi do następnego razu, nie wiedząc, kto, ani co. Teraz, zdaje się, życie redukuje te idylliczne stosunki. Co robić! Wędrowka narodów po każdej wojnie nanosi, jak powódź, masami mułu do łożysk przejrzystych strumieni. Gdyby Amerykanie mieli tylko Amerykanów, a nie emigrację z całego świata — i gdyby Polska nie była na pograniczu rozkładającego się kolosu Bolszewji, skąd raz poraz napływają do nas faktycznie i moralnie zwały namułu, z których mąt osiąść musi: możeby sprawy stały inaczej?

Ale jest to problemat niezależny. Narazie szło mi o dążność udoskonalenia każdej czynności, raz podjętej, dla dwu powodów: dla jej technicznego postawienia na poziomie możliwie najwyższym, i dla wpływu, jaki, w myśl poglądów duchoburczych, złe lub dobre wykonywanie jakiegokolwiek czynności powoduje w czyniącym: gdyż nie czynność w tem waży, tylko nasze do niej ustosunkowanie.

Jak się ustosunkowały u nas, naogół biorąc, kobiety zarobkujące do wykonywanej pracy — powiedzmy, roboty?

Zdarzyło mi się ostatnio być świadkiem gorącej dyskusji na tem tle pomiędzy mężczyznami i kobietami. Zdania były — i zostały — podzielone. Nie zaprzeczano, że kobieta pracuje dobrze, nieraz sumienie i dokładniej od mężczyzny, i nikt jej zdolności do pracy nie kwestjonował. Kwestjonowano tylko — i to mężczyźni — jedną rzecz: ocenianie przez kobietę pracy, jako wartości samej w sobie.

Zdaniem mężczyzn, mianowicie, kobieta dzisiaj wprawdzie pracuje i to pracuje gorliwie i nawet z frenezją, ale — traktuje jednak tę pracę, jako środek tymczasowy. Jest to u niej głównie sposób zarobkowania w okresie, kiedy musi na siebie zarabiać, a jeszcze zamąż nie wyszła. Nie znaczy to, żeby po zamążpójściu żyła koniecznie na koszt męża: współczesne małżeństwa aż nadto temu zaprzeczają. Ale wtedy będzie znowu pracowała, nawet z większym nierzaz zapalem, bo pracuje na siebie i swoich — dom, dzieci i t. d.

Dopiero, kiedy ma własny warsztat pracy — zawód niejako niezależny, coś, co przy wydajności większej daje jej i zyski — wtedy pracuje z — jak mówiono — „duszą“. I zresztą, czyż jest tu czemu się dziwić?... Każdy lubi mieć nadwyżkę zysku z nadwyżki sił!

Ale otóż, jakby spytał amerykanin-duchoburca — gdzież jest jej dusza kiedy indziej? I czy w takim razie nie pracuje bezdusznie?

Ankieta w tym kierunku jednak wypadła twierdząco. Istotnie: w pracę zarobkową, przytem t. zw. „głupią“ pracę, jak nalepianie znaczków, ekspedjowanie pism, znaczenie, rejestrowanie, stemplowanie i t. d. — dziewczęta pracujące przyznały, że nie wkładają duszy. Owszem, wydawały się nawet raczej ubawione takim problematem. I zdawałoby się, istotnie tak jest! Któżby nie poczytał sobie od czasu do czasu rozłożonej na kolanach ostatniej książki, nie poflirtował w sposobnej chwili przez telefon albo i bez telefonu, nie „porobił nic“, ażeby poprostu pogapić się w okno na ruch uliczny, na szczęśliwych, nie przykutych do biurka, wolnych ludzi? Któżby nie chciał zepchnąć jaknajprędzej nudną i bezmyślną robotę i wyjść na świat? I z tego ma być robiony zarzut?!

Ja — zwłaszcza patrząc na kawiarnie warszawskie, pełne zawsze i najpełniejsze w południe, podczas godzin biurowych, mężczyzn-urzędników, którzy mają większą swobodę ruchu i zawsze znajdują godzinkę na „interes w mieście“ — ja nie miałabym serca na zbyt katońską surowość dla pracujących dziewcząt. Ale są wypadki, kiedy na własnej skórze człowiek zbyt dokładnie odczuwa skutki miłej niedbałości pracujących pańienek, aby jednak nie życzyć im duszy — lub powiedzmy: myśli — szybkiego po-

wrotu z niewiadomych krain, gdzie buja podczas godzin pracy. Byłyby w tem i pańienki z poczt i telegrafów, z urzędów i nawet sklepów, z instytucyj państwowych i prywatnych, żeby już, naturalnie, nie mówić o telefonistkach, które są, jak wiadomo, tabu, tak samo, jak reklamacje licznikowe, stanowiące rodzaj intelektualnej łamigłówki: kto ma rację?

Szczególnie ta bezmyślność pracy — dosłownie, jej bezduszność — uderza w sklepach u ekspedjentek. Podobno los tych dziewcząt jest przeważnie ciężki: są przepracowane i niedość, jakoby, płatne. Możliwe! Ale nawet w zasobnych domach handlowych, gdzie personel jest zawsze częściowo wolny, obserwowanie ekspedjentki — czy jest modystką, czy przy materjałach, czy w ubraniu — jest rzeczą pouczającą. Jak ktoś złośliwie, lecz słusznie powiedział, są to większością śpiące królowny, które budzą się tylko na dźwięk godziny siódmej, kiedy sklep się zamyka. I nie jest to bynajmniej tylko polską wadą: zdarza się zagranicą równie dobrze.

Ekspedjentka odmierzy, poda, pokaże, zapakuje. Ale niech ma tylko sama wybrać, zadecydować, wysilić mózg na jakąś koncepcję — przepadło! Obraża się i zasypia, wpadając w dawny marazm. Tylko żydówki mają zawsze żarliwą, niewysiąkłą werwę do sprzedawnictwa — zachwalają, zestawiają, przerzucają pół sklepu dla łockia wstążki, czy koronki, życie wkładają w każdą paczkę.

Możeby trzeba pracujące pańienki więcej zainteresować procentowo od obrotowości i wydajności każdej w jej dziale?

Może ten zwykły i zrozumiały w dzisiejszych drogich czasach motyw byłby skuteczniejszy, niż amerykańskie traktaty o wartości pracy samej w sobie i niechybnych zyskach z niej na końcu? Kto wie? Ale ciż sami nieutuleni w ulepszeniach amerykanie urządzają naprzykład — dosłownie! konkursy z tysiącami dolarów, jako premja, naprzykład, dla... najgrzeczniejszej ekspedjentki! I cała falanga ludzi chodzi po sklepach i notuje w bloczku stopnie za grzeczność, aby potem nagle jakaś uroczą Dorothy czy Mabel, nie podejrzewająca podstępów, dostała bądź publiczną nagane, bądź — czek na tysiąc dolarów i bilet do Kalifornji! Może i warto wtedy wkładać duszę w... nalepianie znaczków dokładnie w prawym rogu koperty, jak żądają przepisy!...



FELICJA KRUSZEWSKA

Pamięci majora Kamila Mochnackiego,
zmarłego dn. 17 sierpnia 1833 r. w Hyères we
Francji.

ODJAZD

Tu jesień nie doścignie, ani mrozy grudnia;
drzewa pachną balsamem, a muszkatem ziemia.
Słodkie są śpiącym wargom owoce południa
i powietrze jest słodkie—tylko płuc już nie ma.

Przychodzi wiatr pachnący, skrzydlaty podróżny,
szumieć pod oknem w liściach i kwiaty otwierać.
Dar słońca jest jedyną łaską bez jałmużny
— tylko, że niema rady — że trzeba umierać.

Sroższe, niż pchnięcie szablą, jest boleści łoże
i serce, jak strzęp krwawy i w pustce rozpięty.
Okno jest pełne nieba, a za oknem morze,
a sny takie dalekie, jak polskie okręty.

Zabierzcie cierpką litość i życia nie wróćcie!
Ból jeden pozostaje i on jest niezmienny.
Tu mię twarzą do morza pod oknem połóżcie...
Madame, odejdźcie, proszę, jestem taki senny...

Choroba głos stłumiła, a mówiłbym—krzykiem.
Łzawe są moje oczy. Patrzę wzrokiem syna.
Weźcie, proszę, z mej piersi łańcuszek z krzyżykiem
i słów parę na świstku: ostatnia godzina.

A teraz on, ów wicher północny przyleci
i na pierś mi się zwali w tej cichej komnacie.
Być małym złotym listkiem w jesiennej zamieci—
jakże to górnio, ładnie i jak ciężko — bracie!

Przyjdzie na pomoc morze. Falami omota,
chluśnie wodą na rany, żal spłóczy najkrwawszy.
I z słońca się wynurzy wymarzona flota
i okręt tu zawinie jeden — najłaskawszy.

A wtedy rzecz jest jedna i jedna jest rada:
płaszczem się przestrzelonym na wylot owinąć
i z piersią przepelnioną wichrem listopada
odbić zwolna od brzegu i w bezkres wypłynąć.



FELICJA KRUSZEWSKA

RAFAŁEK I DULCINEA

(nowela)

Niezawsze idzie się szerokim gościńcem życia. Są takie miejsca, z których gościńca tego nie widać. Są takie oczy, które go dojrzeć nie mogą. Drecze się wtedy codziennie nieciekawą, wąziutką ścieżyną. Są na niej kamienie, są i kwiaty po bokach. Kamienie omija się, jeśli ktoś posiada dość ku temu zręczności. Kwiaty zrywa się, jeśli, oczywiście, można. Kamienie są nieduże. Kwiatów jest niedużo. Ale, zwłaszcza, jeśli się nie wie dobrze, dokąd ta dróżka prowadzi, nuży się człowiek dreptaniem. Zdarza się też czasem, że spojrzysz nagle w bok. Nie, nie na kwiaty. Dalej. Spojrzy sobie w jedną stronę i pomyśli: a może tam, niewidoczna z mojej dróżki, poza ścianką powietrza, którym oddycham, znajduje się przepaść?—A potem myśli: tam jest przepaść.—I kończy się tak, że chce ją zobaczyć. Odchodzi wtedy w bok, pochyla się i patrzy. Może się zdarzyć, że bez krzyku polecą ciężko w dół, jak kamień. Lecz może się zdarzyć również, że się cofnie w porę i zechce wrócić. Ale niezawsze można. Odwraca się, a tu niema codziennej wąziutkiej dróżki. Dróżka pobiegła zupełnie pusta dalej. Dróżki nie widać. Siada wtedy człowiek ogłupiały tam, gdzie stanął, i nie ma zupełnie swego miejsca w świecie. A ponieważ bez miejsca nie można, więc wcześniej, czy później, musi skoczyć.

Tego wszystkiego nie uświadomiła sobie panna Walerja.

Panny Walerji nie zepchnął z dróżki żaden szeroki wiatr. Nie oślepiła jej żadna błyskawica. Przyczyną zguby panny Walerji stały się, śmiech powiedzieć! dwie marne muchy. Miejscem, gdzie wybuchł krater i wysadził z orbity cały świat, był pokój panny Walerji.

Panna Walerja miała lat 34, pracę biurową i zacisze swego pokoju. Możeby ktoś o bardziej wytężonym oddechu, spojrzawszy na pracowite dnie i spokojne noce panny Walerji, nie nazwał tego wogóle życiem; ale pannie Walerji wątpliwość taka nie przychodziła zupełnie do głowy. Urodziła się przecież, pracowała, jadła, spała — więc jakże?

Dzień powszedni panny Walerji rozpadał się na dwie części: biuro i po biurze. Dzień świąteczny wypełniony był ciepłutkiem, lekkim smuteczkiem przesiąkłym: u siebie. W dniu powszednim jedna część odbijała od drugiej, jak szara urzędowa bibuła od różowutkiej karbowanej bibułki.

W biurze lubiła panna Walerja klekot maszyny, dowcipy koleżanki panny Heleny, dobrotliwy uśmiech szefa i szerokie arkusze księgi, które wypełniała ozdobić szeregami cyfr. Nadewszystko lubiła tę jakąś waż-

ność, która wypełniała ją całą, gdy tylko wkraczała w biurowe progi. A także uczucie, że oto pracuje tak przyciężko i uczciwie na chleb powszedni. I to jeszcze, ale już raczej bezwiednie, że wszystko tu było doskonale niezmiennie, niezawodne, ułożone w krateczki godzin. Pracownicą była panna Walerja bez konkurencji: dokładną, sumienną i staranną.

O piątej panna Walerja wychodziła z biura, a koło szóstej, po higienicznym obiadku, zanurzała się w przyjemną ciszę swego pokoju.

Pokój panny Walerji? Nie, żadnych pieszków porcelanowych, żadnych szydełkowych serwetek. Poezja wykwiatała tam na oknie motylami różnokolorowych begonij, a kilimek, tkany w płomienne nasturcje, rzucał ciepły ton na biel panińskiego łóżka. Pod piecem fotel wyciągał rozłożyste ramiona, a lampa tęczyła się pod wzorzystym abazurem. Żaden przeciąg, żaden silniejszy powiew nie wydymał białej firanki. Panna Walerja dbała o przytulne ciepło swego mieszkania.

Tak się jakoś zdarzyło, że panna Walerja nie miała żadnych krewnych, oprócz stryjenki, którą odwiedzała w co uroczystsze święta, i prawie żadnych znajomych. Samotność bywa czasami rzeczą gorzką! Zapewne, zapewne,—ale panna Walerja nie brzydziła sobie samotności. Panna Walerja lubiła książki. Nie żadne tam wiersze, ani traktaty filozoficzne. Powieści, powieści, które się czytało jednym tchem, powieści—rojowiska ludzi, zdarzeń i miłości—oto była duchowa strawa panny Walerji. Nie można powiedzieć, aby wielokropki i wykrzykniki, czy też jakiś wątpliwy kwiatek stylistyczny przemawiały do uczucia panny Walerji. Nie, to już była kategoria pieszków porcelanowych.

Panna Walerja, zanurzając się w książkę, przekreślała zupełnie jej styl. Słowa były dla panny Walerji plewą, którą usuwała pośpiesznie na bok, aby pochwycić czempredziej jądro wydarzeń. Przygody, w których brała udział, uczucia, które smakowała, nieprzerwane żadną refleksją, żadnem odejściem na stronę, to była dla panny Walerji istota rzeczy. Do obcowania z żywymi ludźmi, ani też z wyższymi duchami panna Walerja nie tęskniła nigdy.

Zdarzało jej się nieraz, coprawda, przepędzić i parę godzin poza biurem w towarzystwie panny Heleny. Jakaś herbatka, okraszona ciastkami z kremem, lub, co częściej bywało, kino. A zdarzało się to wówczas, kiedy owe staranne szeregi drobnych cyfr w biurowej książce sprawiały w statecznej głowie panny Walerji nieprzyjemny chaos. Wtedy srebrzyste fale, płynące poprzez ekran, wymywały ten chaos do szczytu. Panna Walerja, pogrążając się w odmet oglądanych spraw

chowała nieraz pod powieki niejeden skarb. Czyjś gest—ach, jakież piękny!—jakieś przydługie połączenie dwojga ust... Wracała potem do domu rozmarzona, lecz wypoczęta i zasypiała pod miarowe tykanie budzika, czując w kościach przyjemne ciepło.

Czasem chodziła panna Walerja i na spacer, czyniła to jednak wyłącznie ze względu na zdrowie. Nie gustowała zupełnie w przechadzkach. Nie lubiła jaskrawego słońca, ani wiatru, który smagał upudrowane policzki, a w miejskim ogrodzie nie szukała nigdy zarosłych ścieżek.

Tak. Jednak najważniejszą sprawą panny Walerji poza biurem pozostawały książki. To też, kiedy zasiadała do czytania w fotelu, otulona w złotawy szlafroczek, z torebką cukierków pod ręką—zasiadała niejako do uczty życia.

Może też owe karmelki, które panna Walerja tak lubiła smoktać, czytając, i zaciszne ciepło jej pokoju były powodem, że osiedliły się w nim dwie muchy. A był to grudzień.

Jednego wieczoru siedziała panna Walerja, jak zazwyczaj, w fotelu z książką, której barwna okładka i purpurowy tytuł zapowiadały niebyłajakie rozkosze. Jakoś zdarzyło się, że zamknęła na chwilę zmęczone czytaniem oczy, a zamknawszy, nie zechciała ich jakoś tak odrazu otworzyć. Jednym ramieniem dotykała prawie pieca i czuła, jak plecy jej nasiąkają miłym ciepłem.

Panna Walerja westchnęła z rozkoszy i, wysuwając daleko stopy, oddała się przyjemnemu lenistwu. Siedząc tak z zamkniętymi oczami, zaczęła mimowoli nadśledzić niegłośnych szmerów i dźwięków swego pokoju. Bo przecie, mimo idealnej ciszy, jakieś tam głosy istniały. Deszcz musiał padać na dworze, bo fale kropel uderzały miękko o szyby. Budzik na szafeczce hałasował wahadełkiem, suwając je tam i zpowrotem. A gdzieś za niejedną ścianą, a może naprzeciwno, grał ktoś nieuczenie znajomą, smutną piosenczkę. I wtedy poraz pierwszy usłyszała panna Walerja cichutkie brzęczenie nad głową. Nim zdążyła pomyśleć: muchal! — coś dotknęło przelotnie jej powieki. Panna Walerja otworzyła oczy i na rozpostartych stronicach książki ujrzała spacerującego owadka. Ponieważ nie zamierzał wcale uciec, panna Walerja pochyliła głowę i przyrzekała mu się z pewnem zainteresowaniem. Poraz pierwszy przeliczyła sześć wiotkich nówek, zadziwiła się kruchości przezroczystych skrzydełek. Sama nie wiedząc czemu, uśmiechnęła się do nieustraszonego potworka. Mucha tymczasem poderwała się, zabrzęczała przeciągle i opadła znów na książkę, tym razem w towarzystwie drugiej muchy. Ten nowy przybysz był większy, ciemniejszy i bardziej jeszcze śmiały. Przebiegł szybko przez całą długość stronicy, zmierzając ku palcom

panny Walerji. Zainteresowanie panny Walerji wzrosło. Zaczęła obserwować nieoczekiwanych gości. Potworek większy zawrócił nagle, przysiadł na chwilę, zatrzepotał skrzydełkami, położył je po sobie i żwawym kroczkiem podbiegł do nieruchomej towarzyszki. Obie muchy dotknęły się trąbkami. — Aha! — postanowiła rozbawiona panna Walerja, — ten większy, to mężczyzna, a to jego żona. — Wykonała nieznaczny ruch i obie muchy poderwały się do lotu. Nie odleciały jednak daleko, wirując z cichym pobrzękiem nad głową, gospodyni.

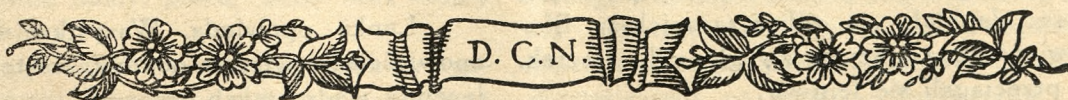
I stało się tak, że ich ciche bzykanie znalazło sobie drogę do serca panny Walerji. Podniosła głowę, śledząc dwa ciemne, krążące tuż przy sobie punkciki. Goniąc je oczami, przesunęła te zmęczone nieco oczy po suficie i po ścianach swego pokoju. Nieoczekiwanie poczuła nagle tych ścian dobrotliwe zamknięcie. Mógł tam gdzieś padać deszcz, mógł wiatr tarmosić bezlistne drzewa i sypać ludziom w oczy bryzgi kropel. Mogły sunąć tramwaje, i pędzić samochody, i ludzie mogli śpieszyć się i uwijać w takt rozlicznych swoich spraw,—ale panna Walerja była daleko od tego wszystkiego, szczelnie zamknięta w swoim ciepłym, kolorowym pudełku. Ona tylko i te dwie muchy. Muchy i ona.

Uśmiešek wykwitł na wargach panny Walerji. Sięgnęła tuż obok do torebki z karmelkami. Rozgryzła jeden, nadłupała kawałtka zębami i, umieściwszy tę okruszynę na papierku, położyła na poręczu fotela, obok otwartej książki. Skutek był natychmiastowy i poprostu uroczy. Obie muchy, znęcone słodyczą, zleciały na papier. Panna Walerja prawie ze wzruszeniem przypatrywała się ich uczcie.

W czasie uczty tej, w której sama brała udział, obracając w ustach malinowy cukierek, panna Walerja zrobiła nieoczekiwane postanowienie. Obdarzy muchy imionami. Zindywidualizuje je, uczłowieczy, zbliży do swojej istoty. Tak! Ten grubas będzie się nazywał... Rafałek. Ależ tak! Oczywiście. Rafałek („Rafałek! Jeszcze kawałek!”) — Cudowna myśl! A ta wysmukła, wiotka muszynka, to Dulcinea („Dulcineo, ootwórz drzwi!”). Wspaniale! Dulcinea i Rafałek! Rafałek i Dulcinea! Panna Walerja omal nie zachichotała nagłos.

Tego wieczoru przed zaśnięciem panna Walerja, nakręcając budzik, poraz ostatni odnalazła wzrokiem na ścianie dwie maluteńkie plamki. I zasnęła z uśmiechem na ustach, z sennym pobrzękiem Rafałka i Dulcinei nad głową.

Na drugi dzień budzik zatrzeszczał, jak zwykle nieznacznie. Szary ranek zalepiał szyby. Koldra nie chciała zwolnić ciepłych objęć. Panna Walerja mocniej wtuliła w poduszkę głowę, ściśniętą niebieską siatką.



ADAM FAG

KAMIENIE W OGNIU

(kartka z r. 1831-go)

IV

Siedzieli teraz w szóstkę dookoła stołu. Dziesiętnik Jermak zarządził kolację. Potem jednego ze swych ludzi wysłał na czaty, na drogę, wyczekać nadejścia Rosjan.

Pozostali spożywali wieczerzę. Krajali grube pajdy chleba, tłusto serem smarowali. Zachciało im się śledzia,

— W sionce — zarządził dziesiętnik Jermak — beczka śledzi stoi. Niechaj Lach z dziesiątek oprawi.

Zawinawszy tedy rękawy kurty i koszuli, oprowiał Jan śledzie pod czujnym okiem kozackiej straży. Zjedli je łapczywie; myśleli, myśleli, aż Batriuk, najmłodszy z byłych jeńców, westchnął żałośnie:

— Eh, wina by!

Z piwnic, po stopniach stromej drabinki, taszczył Jan beczułkę węgierskiego wina. Posmakowali je, później pili dzbanami:

— Za batiuszkę cara, za matuszkę Ukrainę, na pohybel Lachom!

Wino dodało im nowej fantazji. Dziesiętnik Jermak marząco spojrział na zwalony w kącie izby wór maki:

— Eh, Laszku, Laszku! My takie wory całymi dniami taszczyli. Ano weź go na plecy i z dziesięć razy noś dookoła izby.

Jan był posłuszny. Miał Lonkę obok siebie. Widział, jak się im już z czubów kurzyło, pojmował, czem to grozi, unikał ostateczności.

Kulejąc zlekka, oblewając się potem, obnosił wór dookoła stołu, Lonka siedziała na ławie, wodząc za nim ogromnymi oczyma. Kozacy patrzyli nań przyjaznym wzrokiem: — Mołodczyna, dobry chłopiec!

Tatarzyn Batriuk wstał od stołu i, zataczając się zlekka, przysiadł do Lonki. Ale Jermak ciężką pięścią huknął w stół:

— Wracaj, swołocz! Nie lękaj się, gołąbko. Jermak jest stary kozak, złego ci nic nie zrobi.

Michajło, jasny, wesoły blondyn, pytał Jana: — a to potrafisz? — I, mierzając z pistoletu do oddalonej o pięć kroków świecy, zdmuchnął ją gładko celnym strzałem.

— Potrafię — przytaknął Jan.

— Wiem, że potrafisz — uśmiechał się chytrze Michajło — wiem, że potrafisz... Ale, bratku, nic z tego, nie dostaniesz pistoletu, nie głupi Michajło!

Dochodziła północ — Naszych, jak nietu, tak nietu — dziwił się Jermak — Eh, pospaćby po winie.

Za oknem dopalały się zgliszczu spichrza. Błyszczała czerwień dogasających zwęglonych resztek.

Kozacy przeciągali się leniwie.

— U mnie na chutorze jest żona, młodyca — westchnął żałośnie Michajło. — Już jej tyła czasu nie widziałem!

Dziesiętnik Jermak kiwał brodą głową: — mój synoczek tera pewno konie na paszę wygania. Cztery mam konie i jedną kobyłę. Na chutorach, przy ogniu bajki mu zawsze opowiadałem.

Tatarzyn Batriuk cisnął gniewnie:

— Tfu, lichol! Smutno tutaj.

Dziesiętnik Jermak przypatrywał się uważnie Janowi. I nagle zażądał:

— Ty, panie, tyś się czytać uczył. Rozwesel serca kozackie, opowiedz bajki. To nic, że po waszemu. Zrozumiemy.

I zaraz pozostali dwaj dobili: — Bajki, Lachu opowiadaj, rozwesel serca kozackie!

Takie to było głupie, śmieszne, niepojęte. Stał wraz z Lonką u progu niewoli, może sądu wojennego za podpalenie; i nagle od niego — mężczyzny — żądają opowiadania bajek! Oszałeli! Zachnął się tylko: — nie umiem bajek, nigdy nie opowiadałem — mruknął opryskliwie. — Zostawcie mnie w spokoju.

Ale oni z manjackim uporem podpitych ludzi żądali bajek: — Bajki opowiadaj, słyszysz? — ryczeli mu nad uchem — Rozwesel serce kozackie. Żeb ci rozbijemy, a twoją dunię... no, no... słyszysz, Lachu?!

Czuł, że mu się grunt usuwa pod stopami. Gotów już był opowiadać. Ale co, jak? Nie znał bajek, nie wiedział, jak to robić.

Wówczas z wyręką zjawiała się Lonka.

V

Lonka, drobna, uparta Lonka, zwana w mieście „Lonka - Rozbójnik“, obrzuciła wszystkich usłużnym wzrokiem:

— Ja opowiem bajki.

Obśmieli się brodacze: hi, hi! Żeby dziewczyna starym chryczom... żeby dziewczyna... bajki!

Ale Lonka godnym ruchem z ławy powstaje. Nogą tupie, brwi chmurzy, mężczyznom w oczy zagłada.

Żeby cicho! Nie gadać! Ni mru mru! Jakoś zamilkli. Unieśli powieki zadziwione. Czekają,

Jakież bajki Lonka ma opowiadać? Jakież bajki? Czy te ze starych lat, czy inne jakieś? O Boże, daj Lonce siły, żeby porafiła pięknie opowiadać o Boże daj Lonce dźwięcznych słów, daj baśni serca porażających!

Lonka opowiada. Wszystko miesza się w jej opowieściach: wiersze poetów, westchnienia piastunki, legendy wędrownych cyganów.

— ...Ale służący — szepce Lonka — nie chciał zabić królowy. Porzucił ją jeno pośród zwierząt i drzew. I kiedy potem okrutna macocha znów zapytała zwierciadła: „kto jest najpiękniejszą na świecie kobietą?” zwierciadło westchnęło: „pasierbica twa, królowo!”

— Och! — wzdychali kozacy. — O Matko Boża, Święta Bogurodzico!...

...A kiedy chciano sprawdzić, czy jest księżniczką, schowano ziarno grochu pod poduszkę... Więc wstała nad ranem i westchnęła: „o Boże! nie spałam tej nocy. Zda się, kamień miałam pod plecami...”

Migotliwym wiankiem otoczyły Lonkę ogniska niecodziennych słów. Już nie widziała nikogo. Opowiadała. Ciskała w nich swe opowieści, ciskała jedną po drugiej. Oblężyła niemi kozackie serca, czerstwe serca, twarde, jak kamień. Topiła je w ogniu wzruszeń, bólu i radości, któremi szafowała jej mowa.

Zagaśły im faje, niedopitem winem kałużeje stół. Oto cisną się coraz bliżej i bliżej. Zapatrzeni w Lonkę, łowią ulatujące z jej ust kolorowe motyle dziwów.

— Więc kiedy przyszedł dziad poraz trzeci — tłumaczy im Lonka wnikliwie — zapytał baby: „którego syna kochasz najwięcej?” Baba na to: „Janka!” „Jakże to Janka?” zapytał dziad. „Jeden twój syn jest starostą, a drugi bogaczem, ty zaś najmocniej kochasz nieśczęśliwca i włóczęgę?” Baba na to: „szczęśliwych moich synów ludzie będą kochali, któż jednak pokocha nieśczęśliwego Jaśka, jeśli nie matka rodzona?”

Wzdychają kozacy, wyciągnęli nogi, w juchtowe buciska obciążnięte.

Już dobiega noc ku świtowi, a słowa Lonki wciąż maszerują. Maszerują kompanjami, sypią się długą linią tyraljery, trąkocą morderczym ogniem artylerji. Torują sobie drogę słowa zdobywcze, zwyciężają...

— Raz — woła Lonka — wielki lud został pokonany, odebrano mu wszystkie twierdze, jedna tylko pozostała. Ale w niej dżuma!

Nie pojmują kozacy wszystkich słów, ale wiedzą co to dżuma.

Patrzają na Lonkę w przerażeniu.

A Lonka:—do zwycięzców poszedł ataman pobitych, powiada: „pokój wam niosę, jesteśmy pokonani!” ściska każdego, całuje. A kogo uściskał, ten na ziemię pada pokotem. Bo im przyniósł, dżumę i śmierć. Bo się mścił!

Patrzają kozacy w przestrachu. Wielka jest Lonka, wspaniała, niedostępna. Chcą się modlić kozacy.

Aż oto wydrąży ktoś otwór drzwi. Goniec staje na progu, wysłany przez Jermaka: —[Idą już — krzyczy wesoło, — niedługo nadejdą!

Cisza. Milczy Lonka. Koniec bajek. Koniec.

Czapą zamiata Michajło posadzkę. W pas kłania się obiema rękami:

— Hospody te pobłogosławy za skazki!

Jęczy Jermak: — Dunia, a dunia! zabiorą cię! Jeszcze zabiją!..

Lecz tatarzyn Batriuk szczyrzy zęby. Dopada Lonki: — nie damy cię, dunia! — Porywa wszystkich za sobą. Tylko goniec zostaje w izbie, a w oczach ma tuman i głupotę.

Już są na progu stajen. Wyprowadzają konie.

Jan i Lonka siedzą już w dwukołce,

Dziesiętnik Jermak uważnie powiada:

— Ty, Lachu, bij mocniej karego, bo on jest narówny. A klacz dobrze chodzi.

Michajło życzy dobrej drogi. Tatarzyn Batriuk powiada:—ty jedź szybko! A my już swoich tu zatrzymamy. — I zezem kole Lonkę.

Jan zaciął konie. Uderzył w ziemię ich przelewny, przyspieszony kłus.

Tak oto uchodzili z rąk kozackich z życiem.

Za nimi pozostały trzy głowy pochylone, trzy czapy, ziemię zamiatające, trzy serca kamienne, zdobyte ogniem zwycięskich słów.

K O N I E C

KORESPONDENCJA Z ANGLJI

Mgła w Londynie. Kobiety w parlamencie. Przyszłe wybory. Angielska moda. „Mała mateczka”.

A więc przedewszystkiem... „Fog in London”, — mgła w Londynie, — donosi lakonicznie w codziennych komunikatach meteorologiczna stacja w Brighton.

Oślawiona mgłą! Listopadowe preludjum przed nastaniem długiego zimowego sezonu na dalekiej wyspie.

Trzeba, zaiste, widzieć na własne oczy te brunatno-szare masy, kłębiące się nad stolicą i przykrywające gęstą zasłoną domy, place, ulice oraz tłumy pośpieszających ludzi.

Ciemności egipskie! Od wczesnego ranka pozapalane wszędzie żarówki elektryczne i latarnie, oświetlone

rzęsiste witryny sklepów i podjazdy domów — a jednak wszystko to wywołuje słaby zaledwie efekt. Ruch uliczny grozi co chwila wstrząsającą katastrofą. Alarmujące sygnały, trąbki, przeraźliwe zawodzenia syren — ogłuszają do reszty posuwających się omackiem, nie widzących nic przed sobą, za sobą, obok siebie, przechodniów.

I właśnie w jednym z takich, najbardziej chyba strasznych dni, gdy mgła staje się podobną do welnianego koca, jak mówią anglosasi: „fog is like a blanket”, — przeciągnęła ulicami stolicy wspaniała procesja, wioząca panującą parę z pałacu Buckinghamskiego do Westminsteru, na otwarcie Parlamentu.

Uroczysty ten dzień obchodzony jest rok rocznie w Londynie z wielkim namaszczeniem. Miasto to, jak żadna bodaj inna stolica w Europie, lubuje się w przestrzeganiu z pietyzmem napuszonych uroczystości. Nie omija też, zdaje się, najmniejszej okazji aby olśnić, zadziwić, zaimponować...

Tegoroczny ten pochód królewski, przedzierający się krok za krokiem przez brunatne zwały mgły, niemal fantastycznie oświetlony płonącymi pochodniami, z ledwo majaczącymi sylwetkami ludzi i koni — czynił niesamowite wrażenie jasnego zjawiska, stojącego na pograniczu jawy i snu.

I tylko stuk kół średniowiecznej złoconej karocy, zaprzężonej w 16 rumaków, oraz metaliczny dźwięk podków — świadczył istotnie o odbywającej się, jedynej w swoim rodzaju, procesji.

Zjawiskiem, niespotykanym dotychczas w dziejach parlamentu brytyjskiego, był fakt stawienia się w tym roku na uroczystość otwarcia — niezliczonej ilości przedstawicieli płci pięknej. — „Ależ tam więcej było wogóle kobiet, niż mężczyzn!” — komunikowano sobie nazajutrz.

I faktycznie. Nietylko, bowiem, posłanki, nietylko kobiety, pracujące w samorządach miejskich, w sejmikach i rozmaitych organizacjach politycznych, nietylko peeresses (żony parów) zasiadły w łóżach Izby Lordów, ale wszystkie miejsca na galerjach, i wszystkie przejścia obsadzone zostały przez kobiety.

Stawiły się gremjalnie, aby usłyszeć mowę tronową króla Jerzego o wewnętrznej i zewnętrznej sytuacji Wielkiej Brytanji. Interesowanie się polityką oddawna, bowiem, przestało być w tym kraju udziałem tylko mężczyzn.

I aczkolwiek następne powszechne wybory do parlamentu odbędą się dopiero w czerwcu przyszłego roku, — już dziś wre wśród kobiet angielskich gorączkowa praca i przygotowania.

Wszak po ostatnim zwycięstwie misses (Equal Franchise Bill, — 29 marca 1928 roku) 5.000.000 świeżych, młodych, pełnych temperamentu sił stanie do urn wyborczych i przechyli szalę zwycięstwa na stronę tego stronnictwa, które potrafi zaskarbić sobie sympatię wśród świata kobiecego.

A więc polityka... sporty... no, zapewne i mody absorbują umysły współczesnych rozpolitykowanych, wysportowanych i pięknie ubranych, cór Albjonu.

Właśnie na terenie mody... od roku mniej więcej rozpoczęła Anglja poważną kampanję bojkotowania w swym kraju artykułów firm paryskich, narzucających całemu światu hegemonję w dziedzinie mody.

Angielki, pomimo swej pychy, a raczej dumy narodowej, pomimo nawet tradycyjnej, wiekowej niechęci do Francji, uległy w czasach powojennych mo-

dzie francuskiej, hołdując z pietyzmem rozmaitym jej wybrykom. Lecz wszystko ma swój koniec... Synowie trzeźwego Albjonu opamiętali się pierwsi... rodaczki poszły za ich przykładem. W tym celu związał się w Londynie trust, w którego skład weszły wszystkie największe firmy krawieckie, modniarskie i galanteryjne oraz dwanaście fabryk wyrobów włókienniczych. Pozatem wszystkie modele i wzory projektowane są dzisiaj tylko przez artystów - angiłów i najwybitniejszych rysowników w kraju.

Jedynie artysta i esteta angielski potrafi, bowiem, uchwycić linję i wdzięk, właściwe Angielkom.

Jakim sposobem to, co np. we Francji jest wytworem psychiki i smaku francuskiego, może, jako takie, odpowiadać typowi wytwornej Angielki? Oczywiście, i odwrotnie.

Każdy kraj, każdy naród posiada swe specyficzne wymagania estetyki i winien kształcić i zaspokajać swój smak i gusta narodowe tylko u siebie w domu!

Na zakończenie — coś niecoś o najświeższej plotce na bruku londyńskim: — „Wielka niespodzianka dla burmistrza Liverpoolu! Miss Bearan, „mała mateczka“, obrana przed rokiem za wielkie zasługi, jakie położyła na polu pracy społecznej — burmistrzem Liverpoolu, stała się dziś ni mniej ni więcej, tylko poszukiwaną narzeczoną. Piećdziesięcioletnia, bardzo skromna, nie ciesząca się urodą, a zresztą całkowicie oddana swej umiłowanej pracy — miss Bearan nie przypuszczała, zapewne, ani na chwilę, że mowa, którą wygłosiła przed paru tygodniami do swych rodaczek, emigrujących z Liverpoolu do Australji, pociągnie takie nieoczekiwane następstwa.

Już na pokładzie okrętu, żegnając serdecznie młode kobiety, miss Bearan zakończyła swe przemówienie gorącymi słowami: „a teraz najważniejsze: — wychodźcie tam jak najprędzej zamąż, zakładajcie własne gniazda i postarajcie się o dużo, dużo dzieci! Nie życzę żadnej z was, aby pozostała na starość takim oto, nudnym „starym kawalerem“, jakim mnie życie zrobiło. Pamiętajcie o tem!”

Mowa została przyjęta spontanicznymi oklaskami. Rodaczki odjechały, a burmistrz powrócił do swych ciężkich obowiązków... gdy oto do prywatnego mieszkania „prezydenta w spódnicy“ zaczęły nadchodzić listy z propozycją... małżeństwa. Oferty pochodziły od mężczyzn ze wszystkich sfer społecznych (robotnicy, farmerzy, profesorowie) i... tylko od starych, nudnych kawalerów. „Ogółem otrzymałam 17 ofert... nie marzyłam nigdy o podobnym powodzeniu... niestety! przyszło ono zapóźno...” opowiada z uśmiechem Lord Major of Liverpool wszystkim odwiedzającym ją, ciekawym reporterom.

H. S.



WYSTAWA DOROCZNA W ZWIĄZKU ARTYSTÓW PLASTYKÓW

Salon Doroczny w Związku Zawodowym Artystów Plastyków—w sali na Nowym Świecie—zdradza poziom wielce nierówny. I to nie tylko ze względu na różnorodność kierunków, w nim reprezentowanych, lecz także z powodu nierównomiernej wartości w obrębie nawet poszczególnych dorobków artystycznych.

Jeżeli to drugie zjawisko świadczyłoby raczej ujemnie o wystawie — bo niewątpliwie bardziej pożądane byłoby, aby ogólny poziom był jednakowo wysoki—to fakt różnorodności, fakt, że mamy tu do czynienia z wielu przecinającymi się płaszczyznami i w różny sposób stykającymi się ze sobą nawarstwieniami — jest bardzo pocieszający. Albowiem wielość i odmienność są zawsze pożądane: świadczą o żywotności i odrębności poszukiwań — o twórczym temperamencie artystów.

Przedewszystkiem budzą uwagę liczne obrazy, reprezentujące niejako pewien neo-impresjonizm. Są to przeważnie pejzaże i studia z natury — niewielkie w rozmiarach, częstokroć bardzo kulturalne w swych rozwiązaniach kolorystycznych.

Z młodszych — prym wiodą tutaj artyści, wyszli ze szkoły prof. Pruszkowskiego. Widzimy tutaj kilka bardzo interesująco zapowiadających się talentów kobiecych, jak pp. Hufnagłówna i Littauerówna. To impresyjne, migotliwe i jakby zamglone oglądanie świata — może tylko dokonywać się przez zbyt mało rozświetlone szkła — może za bardzo pozostaje w sferze tonów szarych, lub szarosrebrzystych.

Natomiast motywy z Kazimierza p. Umińskiej odznaczają się tem pewnem ciepłem kolorytu, świetlistością złocisto-błękitno-różowych tonów. Przytem prace p. Umińskiej zdradzają duży wysiłek w operowaniu fakturą — jej obrazy nie są martwe przez to właśnie, że różnokierunkowe rzuty pendzla, które stosuje, wytwarzają pewną dynamiczność barwną.

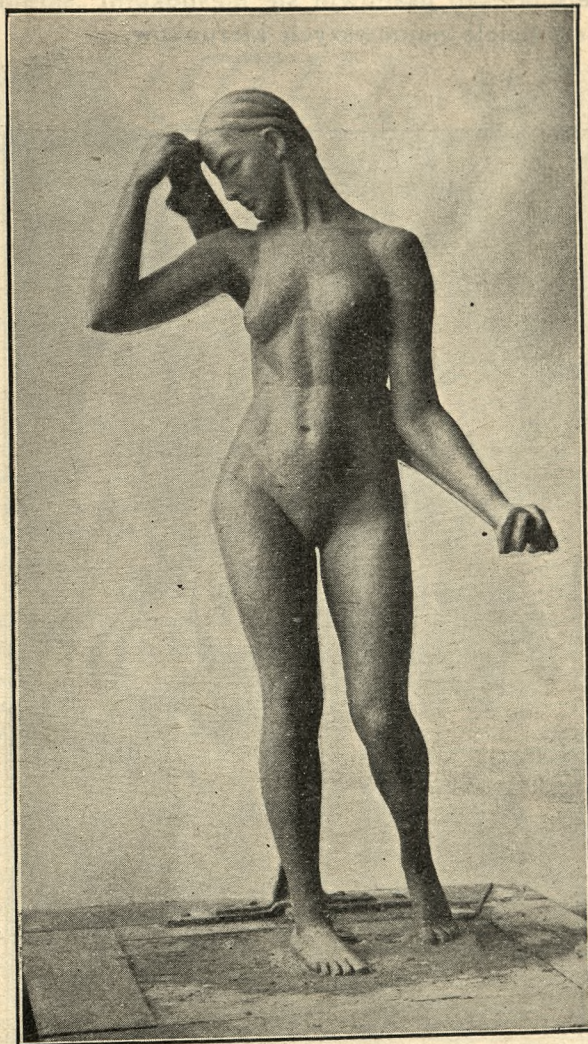
W tej samej sali p. Kazimierz Strzebiński wystawia swoje kulturalne, jak zwykle, studia pejzażowe.

Akwarele p. Gessnerówny również tchną pewną manierą impresjonistyczną—zbyt może już tradycyjną. Bo nie chodzi przecież o zupełne zerwanie, odwrócenie się od impresjonizmu—chodzi o to, by ci artyści, którzy odczuwają i odtwarzają świat na modłę impresjonistyczną, przetrwali i przeżyli ten stosunek istotnie i szczerze, nie stosując poprostu tylko pewnych

wyuczonych, czy też przez tradycję już zaszczerpionych, kanonów.

Tego zbytniego poddania się pod władzę kanonu muszą się pilnie wystrzegać również przedstawiciele innych kierunków—neo-klasycyzmu np. Albowiem i neo-klasycyzm, kult zamkniętej formy i gładkiej, jednolitej powierzchni barwnej — wytworzył już dziś swój typ szablonowy.

Prace p. Bobińskiej-Paszkowskiej, które sprawiają zawsze zadowolenie swą solidną techniką malarzką, tracą właśnie pewnym manjeryzmem. Klasyczne formy kobiecych postaci na tych obrazach powtarzają zbyt często pewne charakterystyczne, „wdzięczne”



„Kąpiąca się”

Rzeźba Olgi Niewskiej

przegięcia — a słodkawy wyraz tych twarzy graniczy już z pewną bezdusnością.

P. Łuczyńska-Szymanowska poza ładnym studjum portretowym wystawia również dużą martwą naturę, nieco może zbyt krzykliwą w kontrastach barwnych. Również p. Centnerszwerowa wystawia martwe natury.

Od martwych natur roi się wogóle poprostu na całej wystawie. Miłą niespodziankę sprawiają tu dwa obrazy p. Hirszberżanki. Zwłaszcza jeden z nich — przedstawiający poprostu szare śledzie i złotawą cebulę — zdradza nieprzeciętne wyczucie koloru i troskę o kompozycję. Obraz bardzo obiecujący.

Wspomnijmy jeszcze o stylizowanej „Dziewczynie z talizmanem” Pii Górskiej, o studjach portretowych Węgierkowej, oraz — by nie być posądzonym o specjalny feminizm — o studjach Bronisława Kopczyńskiego, Badowskiego, drobnych fraszkach Cieślowskiego (syna), zamaszystych i bajecznie kolorowych pomysłach St. Śliwińskiego. Interesującą karykaturę Marszałka Piłsudskiego — Edwarda Głowackiego — znamy już dawniej.

Wreszcie w ostatniej — a właściwie w pierwszej od wejścia — sali usadowili się niespokojni „skrajni” — przedstawiciele najnowszych kierunków.



Edward Głowacki

„Król-Duch”



Janusz Trefler

„Maestro podwórkowy”

Przykro powiedzieć, lecz, kto wie, czy przy bliższym zbadaniu nie okazałoby się, że poziom artystyczny tych właśnie prac jest najwyższy z całej wystawy...

Lwią część wystawiających stanowią tu przedstawiciele grupy „Formistów”. Bardzo interesujące są prace p. Winklera, zwłaszcza jedna mała akwarelka, przedstawiająca owoce. P. Winkler dokonywa interesującej i odrębnej stylizacji. Dwa portrety Zaruby zadziwiają niesamowitą ekspresją. Pronaszko ciekawie deformuje rzeczywistość — prymitywizując ją. Zaleski wystawia dwa obrazki, z których jeden — jakieś zielonkawe szklanki, o ile się nie mylę — raduje oczy świeżością koloru i niespodziankami w zestawieniach barwnych.

Rafałowski w swych martwych naturach rozwiązuje zagadnienia stosunku wzajemnego, kompozycji form — i zagadnienia fakturowe.

Obrazy jego zdradzają niewątpliwie jeden z najsilniejszych dziś w Polsce temperamentów twórczych — zwłaszcza, jeżeli idzie o barwę. Bardzo ładnie stylizowane projekty kostiumów teatralnych Malickiego mieliśmy już sposobność oglądać w tej samej sali rok temu.

Wreszcie wspomnijmy o najbardziej „rygorystycznie” trzymającej się w tej sali zasad „malarstwa bezprzedmiotowego” — Nicz-Borowiakowej, której „kompozycje” zdradzają doskonale poczucie... kompozycji.

Zpośród nielicznych rzeźb na wystawie zwracają przede wszystkim uwagę prace Olgi Niewskiej, która ma siłę, rozmach i dobre poczucie bryły.

l. j.

Z ŻYCIA EKRANU

Produkcja krajowa — Grzechy i cnoty polskiego filmu*)

(Dokończenie)

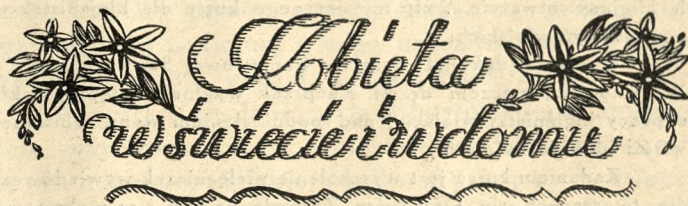
Zamiast marnowania zdolności reżysera na „poczytne” bzdury, lub pokrywania braku tych zdolności głośnem literackiem nazwiskiem, lepiej ostatecznie wejść w taki kontakt z literaturą, jak to zrobiła wytwórnia „Sfinks”. Poprostu—zamówiła u jednego z literatów scenarjusz, któryby przypadł do gustu najszerszej publiczności. Zamówienie zostało sumiennie wykonane. Otrzymaliśmy typowy „roman-feuilleton”, z ukrytym skarbem, niezwykle podobieństwem 2-ch osób, nawróconym grzesznikiem, czarnym charakterem i... szczęśliwym zakończeniem („Tajemnica starego rodu”). Nie grzeszy to wszystko mądrością, ale jest tam i miłość ojczyzny, i miłość bliźniego, i wojsko, i niewyszukany, jowialny humor, słowem—wszystko, co przemawia do szerokich mas i znajduje tam oddźwięk... Niema też w tym obrazie żadnych aspiracji do rozwiązywania zagadnień reżyserskich i technicznych, jest raczej hołdowanie przestarzałemu już stylowi teatralno-ilustracyjnemu. Ale w tych ramach—robota sumienna, zdjęcia prześliczne, jasne i ostre, montaż bardzo dobry. Jeżeli mogą być popularne koncerty czy odczyty, dlaczegożby nie miał istnieć popularny film? Warunkom takiego właśnie filmu „Tajemnica starego rodu” odpowiada w zupełności. Smorska zrobiła nam miłą niespodziankę. Nie wiem, kto był tym Pigmaljonem, który ją ożywił, ale jeszcze nigdy tak nie grała. Już nieraz wyrażałam żal, że artystka ta nie może popracować czas jakiś zagranicą pod kierunkiem wytrawnego reżysera, któryby wydobyl z niej wszystkie możliwości twórcze, wskazał kierunek pracy i wyzyskał jej urodę. Mogłaby być naprawdę naszą chlubą (o ileby nam jej wtedy nie porwali). Tutaj musi sama szukać swej drogi, często poomacku. Ostatecznie każda wielka zagraniczna gwiazda zawdzięcza przynajmniej tyleż swemu reżyserowi, co swym przyrodzonym warunkom.

Miedzy omawianymi obrazami znalazł się tylko jeden, który polską kinematografię posunął o krok naprzód. Jest to „Kropka nad i” w reżyserji Gardana. Nareszcie nie patryotyczna bomba, ani pretensjonalne głupstwo, lecz eksperyment, coś, — czego dotąd nie mieliśmy: — próba filmu kameralnego. Nowelkę Maupassanta ujęto bardzo szczęśliwie w jakieś pirandellofskie ramy. Historia miłości, uwiedzenia i porzucenia, nie indywidualna, lecz pomyślana, jako proces, który codziennie rodzi się, trwa i umiera na bruku każdego wielkiego miasta. Każde pospolite ogniwo tego procesu Gardan umie ująć w wizualną syntezę. Jeżeli nawet czasem ucieka się do naśladownictwa cudzych pomysłów (Luna park), nie kopuje ich bezmyślnie

(jak się to u nas często zdarza), lecz przetwarza i inteligentnie przystosowuje. Obraz opiera się prócz reżyserji na grze dwóch osób. Gdyby tak p. Gardan miał do dyspozycji takie siły, jak Janet Gaynor i Farrell! Cóżby to było za ułatwienie! Lili Romska (pierwsza jej rola) i St. Szwarz (grywający zazwyczaj role czarnych charakterów) wywiązali się z zadania nieźle. P. Romska ma zadatki na szczerą artystkę. Ale żeby tak jeszcze mieli odpowiednie warunki zewnętrzne! Zdawałoby się, że taka właśnie przeciętna pracownica igły, wydobyta z szarej masy, i taki przeciętny młodzieniec powinni mieć też „przeciętną” powierzchowność, a nie odznaczać się specjalną urodą. Przecież nietylko ludzie piękni się kochają. Miłość nawiedza wszystkich. Ale cóż nam po życiowej prawdzie, po realizmie, kiedy kino tak nas zepsuło, że wszędzie szukamy piękna, a przynajmniej — wdzięku, który można roztaczać, nawet nosząc najuboższe łachmany i nie będąc zupełnie ładną przykład: Janet Gaynor).

„Kropka nad i” nie jest bez niedociągnięć, ale mimo to uważamy ją za dodatnią pozycję w krajowej produkcji, w której wady twórczości musimy stawiać wyżej od zalet rutyny.

Stef. H.



DOROCZNY WALNY ZJAZD POLSKIEGO STOWARZYSZENIA PIELĘGNIAREK ZAWODOWYCH

Zjazd odbył się w Warszawie w dn. 17 i 18 listopada. Przybyły liczne członkinie, które ukończyły Warszawską Szkołę Pielęgniarek, Wyższą Poznańską Szkołę Pielęgniarek i Higienistek, Uniwersytecką Szkołę Pielęgniarek i Higienistek w Krakowie i Szkołę pielęgniarstwa i opieki społecznej przy Polskim Czerw. Krzyżu w Katowicach.

Zjazd poprzedziła Msza św. w kaplicy Polskiego Czerw. Krzyża, poczem odbyło się zebranie członkiń, poświęcone sprawom zawodowym. Tegoż dnia nastąpiło otwarcie Zjazdu w Państwowej Szkole Higieny. Na przewodniczącą Zjazdu powołano p. Z. Zawadzką. Tematem zebrania była higiena szkolna. Naczelnym wizytatorem higieny dr. St. Kopczyński wygłosił obszerny, bardzo ciekawy odczyt p. t. „Plan współpracy higienistki szkolnej z lekarzem szkolnym z punktu widzenia Min. W. R. i O. P.” W Polsce na 3 miliony dzieci w szkołach mamy 127 higienistek. Anglija na 4 miliony dzieci w szkołach ma 4 tysiące higienistek. Zorganizowanej opieki lekarskiej dla dzieci szkolnych mamy 40%, w czem szkoły miejskie mają 42%, a wieś tylko 10%. To, co dotychczas zrobiono, uważać można za skromny początek, bo potrzeba nam 3—4 tysięcy higienistek, a mamy ich około 170. Higienistki powinny pochodzić ze szkół pielęgniarstwa, których obecna liczba jest niewystarczająca. Następnie p. H. Chrzanowska wygłosiła doskonały odczyt o „Higienie szkolnej na terenie Krakowa”, gdzie są bardzo trudne warunki pracy; p. J. Romanowska wygłosiła bardzo ciekawy referat o „Higienie wiejskiej zagranicą i u nas”. Brak miejsca nie po-

*) Z powodu braku miejsca, film „Pan Tadeusz” będzie omówiony osobno. (Przyp. aut.)

zwala na streszczenie tych referatów, bardzo poważnie i starannie opracowanych, wyjaśniających wiele potrzeb i poczyną w naszym państwie.

Po dyskusji zamknięto pierwszy dzień Zjazdu, który zakończyło liczne, ożywione zebranie towarzyskie w Warszawskiej Szkole Pielęgniarek.

Następny dzień poświęcono obradom na temat: „Ubezpieczenie pielęgniarek”. Dr. Krygier mówił „O ubezpieczeniu pracowników umysłowych”, a p. Julja Mabel o „Ubezpieczeniu pielęgniarek miejskich”. Po dyskusji obrady ukończono, rozpoczynając je popołudniu tematem: „Ruch pielęgniarstwa zagranicą”. Pan viceprezydent m. st. Warszawy dr. W. Bogucki mówił o „Organizacji Służby Zdrowia i Opieki Społecznej na podstawie danych ostatniego Kongresu Międzynarodowego”. O „Organizacji pielęgniarek wojskowych w Anglii i w Ameryce” mówiła przełożona Szpitala Ujazdowskiego, p. Stefania Potocka, poczem „Administrację szpitala, a pielęgniarki” ciekawie ujęła przewodnicząca Sekcji Sióstr P. C. K., p. J. Suffczyńska.

Zamknięto Zjazd obradami członkiń. Zatwierdzono budżet, obrano zarząd i ułożono plan prac na rok następny. Członkinie rozjechały się na swoje ideowe placówki do pracy wdzięcznej, ciekawej i bardzo celowej. Podniesienie stanu zdrowotności wśród szerokich mas, szerzenie idei kulturalnych — to trudna i odpowiedzialna rola pielęgniarki-higienistki.

M. D.

KURS DLA HIGJENISTEK WIEJSKICH

W dniu 2-im listopada r. b. odbyło się w Państwowej Szkole Higjeny otwarcie 9-cio miesięcznego kursu dla higienistek-wywiadowczyń wiejskich.

Otwarcia dokonał dyrektor Państwowej Szkoły Higjeny dr. W. Chodźko, poczem dr. M. Kacprzak wygłosił wstępny wykład o pracy higienistki wiejskiej nad podniesieniem stanu sanitarnego wśród ludności wiejskiej.

Zadaniem kursu jest wyszkolenie pielęgniarek-wywiadowczyń dla tworzących się Ośrodków Zdrowia na wsi i w małych miasteczkach. Dotychczas akcja tych Ośrodków nie mogła się należycie rozwijać, wobec braku wykwalifikowanego personelu pielęgniarskiego.

Na kurs wpłynęło przeszło 250 zgłoszeń kandydatek, z których Państwowa Szkoła Higjeny mogła uwzględnić tylko 40; z pośród tej liczby 35 słuchaczek otrzymuje stypendja na pokrycie kosztów utrzymania podczas pobytu na kursie z funduszy Departamentu Służby Zdrowia Min. Spraw Wewnętrznych.

PIERWSZE KURSY ZAWODOWE DLA MŁODOCIANYCH ROBOTNIC

W Warszawie i Łodzi powstały w tym roku pierwsze kursy przysposobienia zawodowego dla młodocianych robotnic fabrycznych. W Warszawie stworzono kursy trykotarstwa fabrycznego, przy ul. Wiktorskiej 65 (Mokotów). Zorganizowało je stowarzyszenie nauczycielek szkół zawodowych „Służba Obywatelska”, działające w związku z referatem do spraw kobiet i młodocianych w inspekcji pracy w Ministerstwie Pracy i z wydziałem szkół zawodowych żeńskich w Ministerstwie Oświaty, nabyło dom własny i urządziło go, jako szkołę i nowoczesny warsztat fabryczny jednocześnie.

W Łodzi powstały podobne kursy tkactwa fabrycznego.

Kursy te trwają rok, są bezpłatne i przyjmują dziewczęta po ukończeniu szkoły powszechnej, w wieku, kiedy praca zarobkowa jest jeszcze nieletnim ustawowo wzbroniona. Wyszukolenie zawodowe i nieco dokształcenia ogólnego, nabytego na kursie, postawi młode robotnice w rzędzie pracowników wykwalifikowanych. Gdy z ukończonym 15-tym rokiem życia pójdą do fabryk, będą mogły od razu osiągnąć lepsze warunki pracy i płacy.

Przygotowanie do zawodu ma więc tu znaczenie obrony przed wyzyskiem, szeroko, niestety, stosowanym w przemyśle w stosunku do małoletnich robotnic. Jak dotychczas, kilkunastoletnie dziewczęta pracują w warsztatach i fabrykach nie mniej i nie krócej, niż robotnicy dorośli: po 10 i więcej godzin. Praca ta, pod pozorem praktyki zawodowej, jest albo zupełnie bezpłatna, albo płatna minimalnie. Tworzenie kadr robotnic fachowych niedoli tej w znacznej części zapobiegnie.

j. k.

KOBIETY NA MIĘDZYNARODOWYM KONGRESIE DZIENNIKARZY

W zawodzie dziennikarskim pracuje pewna liczba kobiet we wszystkich krajach, przyczem dawna dorywcza i luźna współpraca zanika na korzyść zawodowości. Dowodem tego jest niewątpliwie także udział kobiet w organizacjach dziennikarskich i w pracach zawodowo-organizacyjnych.

W II Kongresie Międzynarodowej Federacji Dziennikarzy (Fédération Internationale des Journalistes), który odbył się w dniach 15—18 listopada b. r. w Dijon (Francja), wzięły udział, jako przedstawicielki w delegacjach narodowych, dwie kobiety: p. Elżbieta Janstein (Austria), ceniona korespondentka pism austriackich w Paryżu, i p. Jadwiga Krawczyńska, dziennikarka warszawska, sekretarka generalna Związku Syndykatów dziennikarzy polskich. Obie pracowały w Komisji spraw zawodowych Kongresu; p. Janstein wygłosiła referat o sytuacji korespondentów zagranicznych, p. Krawczyńska przedstawiła sprawę szkół dziennikarskich i tworzenia katedr uniwersyteckich dziennikarstwa, według dyrektyw Związku Synd. Dziennikarzy Polskich.

Do Federacji Międzynarodowej Dziennikarzy należą 22 organizacje narodowe, głównie europejskie.

j. k.

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

X. Józef Rołoszny: „System wychowawczy M. Darowskiej—Radom Alfred Binet: „Pojęcia nowoczesne o dzieciach”—przekład M. Szermanowskiej. Warszawa, „Nasza Księgarnia”.

Stanisław Stroński: „Pierwsze lat dziesięć” (1918—1928)—Łwów, Gubrynowicz i Syn.

Juliusz Kaden-Bandrowski: „Lenora” (z cyklu „Czarne Skrzydła”) — Łwów, Zakład Narodowy imienia Ossolińskich.

Grazia Deledda: „Po grzesznej drodze” t. I-szy. Biblioteka groszowa.

J. M. Dąbrowa: „Telewizor Orkisz”—Książnica-Atlas.

Dr. Feliks Burdecki: „Budowa wszechświata” (Biblioteka Iskier) — Książnica-Atlas.

A. Ossendowski: „Wańko z Lisowa” (Biblioteka Iskier)—Książnica-Atlas.

Juliusz Verne: „Wyprawa w głąb Afryki” (Biblioteka Iskier)—Książnica-Atlas.

Dr. J. Siemiradzki: „O czym mówią kamienie” — Książnica-Atlas.

J. Olszewski: „Stenografia polska”—Książnica-Atlas.

Wybitniejsze z nadsyłanych wydawnictw będą szczegółowo omawiane w dalszych numerach „Błuszczo”. (Przyp. Redakcji)

ZABURZENIA W TRAWIENIU PRZEWLEKŁE, UPORCZYWE ZAPARCIA STOLCA, ORAZ NADMIERNĄ OTYŁOŚĆ, BEZ SPECJALNEJ DIETY LUB ZMIANY TRYBU ŻYCIA, USUWAJĄ „SZWAJCARSKIE GORZKIE ZIOŁA” (z KOGUTKIEM). SPRZEDAJĄ APTEKI I SKŁADY APTECZNE. — GŁÓWNY SKŁAD: APTEKA A. GAJECKIEGO, W WARSZAWIE, UL. FRETA 16.



BADANIA PSYCHOLOGICZNE W SZKOŁACH POWSZECH- NYCH W WARSZAWIE

W związku z pojawiającymi się w ostatnich czasach w prasie codziennej bezsensownymi wzmiankami o badaniach psychologicznych, przeprowadzonych w roku bieżącym na wielką skalę w szkołach powszechnych warszawskich, które to wzmianki bałamucą i tak mało orientującą się w tych sprawach opinię publiczną — czuję się w obowiązku, jako jedyny psycholog szkolny w Polsce, a więc siłą rzeczy przeprowadzający te badania, — zabrać głos w tej sprawie.

Badania psychologiczne, przeprowadzone w czerwcu roku bieżącego w szkołach powszechnych VII-go rejonu nad 6.000 dzieci, są zapoczątkowaniem masowych badań szkolnych, które już stale będą kontynuowane, obejmując coraz szersze kręgi, a więc czasami szkoły powszechne w całej Polsce.

Badania te, mówiąc najogólniej, mają na celu wprowadzenie naukowej organizacji pracy na terenie szkoły, tak jak jest ona wprowadzana dzisiaj na terenie rozmaitych innych dziedzin życia, przynosząc wszędzie bogate rezultaty w postaci wielokrotnego zwiększenia wyników pracy.

Mówiąc ściślej, te pierwsze badania miały następujące trzy cele. Po pierwsze, miały skonstatować, jaki jest stosunek wymagań programów obowiązujących do istotnego stanu rzeczy, czyli, inaczej mówiąc: w jakim stopniu szkoła dzisiejsza realizuje wymagania programów, o ile te programy są przystosowane do umysłowości dzieci, uczęszczających do szkoły powszechnej. Tylko zbadanie w sposób ścisły stosunku całych mas dzieci do programów szkolnych może nam to zagadnienie rozwiązać. To zaś może wskazać drogę, po jakiej powinna iść reforma programów. Kwestja programów zaś jest jedną z najważniejszych dla rozwoju szkolnictwa.

Drugi cel — to poznanie każdego dziecka, każdej klasy i każdej szkoły pod względem inteligencji oraz posiadanych przez nie wiadomości i wyćwiczeń szkolnych, a przytem poznanie porównawcze, ujęte liczbowo, przedstawione graficznie. To znaczy: poznanie każdego dziecka w stosunku do wszystkich innych dzieci takiej samej klasy, poznanie każdej klasy w stosunku do takich samych klas we wszystkich innych szkołach. Na tej podstawie zaś można oprzeć wyznaczenie każdemu dziecku właściwego miejsca w szeregu jego kolegów, aby wiadomem było, jak należy je traktować, w jakim przedmiocie nauki dziecko jest na poziomie swej klasy, z czego stoi poniżej lub powyżej tego poziomu. Wyznaczenie każdej klasie każdej szkoły właściwego miejsca w szeregu innych szkół pod względem rozwoju umysłowego i każdego

przedmiotu szkolnego — pozwoli każdemu nauczycielowi, każdemu kierownikowi szkoły zdać sobie sprawę ze stanu własnej klasy i własnej szkoły: pod jakim względem klasa stoi dobrze, pod jakim źle, w stosunku do wszystkich innych takich samych klas i szkół. To pozwoli na świadome regulowanie pracy w każdej szkole.

Przytem badania takie, przeprowadzane z roku na rok, pozwolą na zdawanie sobie sprawy z czynionych postępów, na orjentowanie się, jakie warunki pracy wpływają na jej polepszenie lub pogorszenie. Tylko tego rodzaju badania mogą wykazać władzom szkolnym w sposób ścisły, wyrażony liczbowo, zależność wyników pracy od rozmaitych warunków, w jakich się ona odbywa, celem świadomego stwarzania warunków najodpowiedniejszych.

Trzeci cel — to ustalenie norm pod względem inteligencji i poszczególnego przedmiotu szkolnego dla dzieci każdej klasy szkoły powszechnej — to znaczy, ustalenie tego, co przeciętny uczeń danej klasy umie z każdego przedmiotu szkolnego i w jakim stopniu jest rozwinięty.

Pozwoli to na zdanie sobie sprawy w każdej szkole powszechnej w sposób łatwy, a ścisły, czy uczeń jest na poziomie swej klasy, czy poniżej lub powyżej tego poziomu, a więc umożliwi łatwe i ścisłe zakwalifikowanie ucznia do właściwej klasy.

Wszystkie te dane mają ułatwić pracę nauczyciela, wyjaśniając mu z, jakim materiałem dziecięcym ma do czynienia i jakie wyniki z pracy swej osiąga.

Powyższe informacje powinny zainteresować szerokie sfery społeczne, ponieważ w ostatnich czasach kwestje wychowania i nauczania wyszły, na szczęście, poza zainteresowanie ciasnych kół fachowców i stały się tematem do roztrząsań na łamach pism codziennych.

Psycholog szkolny:
Maria Grzywał-Kaczyńska.



JAKI POWINIEN BYĆ BILET WIZYTOWY

Sprawa takiego lub innego biletu wizytowego wydawać nam się może bardzo drobną i mało znaczącą. Zapewne, nie jest ona pierwszorzędnej wagi; jednak trzeba zastanowić się nad rodzajem biletu, jakiego używamy, tak samo, jak nad wyborem każdego, pozornie, drobiazgu. Te, bowiem, drobiazgi tworzą nasze najbliższe otoczenie, mogą nam być miłe lub antypatyczne i, co więcej, charakteryzując nasz smak, są odbiciem, nieraz bardzo znamionem, naszej sylwetki psychicznej.

Co, na przykład, możemy sądzić o porządku, zamiataniach estetycznych i subtelności osoby, która używa jaskrawego papieru listowego i szkaradnej obsadki?

Tem bardziej, że właśnie bilet wizytowy jest w wielu okazjach poniekąd naszym zastępcą i przedstawicielem. Pozostawiamy go u osób, których nie zastaliśmy w domu; dajemy często, jako kartę polecającą; ofiarowujemy, jako przypomnienie i wskazówkę ludziom, poznanym w podróży, na wycieczce, na zjeździe i t. p., z którymi pragniemy utrzymywać nadal stosunki — wszystko to wymaga, aby ta biała kartka, nosząca nasze nazwisko, dobrze o nas świadczyła, nie dając zgóry powodu do drwin i krytyki.

Dla biletów wizytowych, jak i dla wszelkich innych spraw naszego życia, istnieje moda; chodzi jednak o to właśnie, aby z tych modnych wzorów wybrać najlepszy i najbardziej dla nas odpowiedni.

Co do formatu, koloru i rozmiaru, należy unikać fantastyczności. Rozumie się samo przez się, że bilety kolorowe, ukośne, wytłaczane, ze złotem brzegami i t. p., są niemożliwe. Tak samo nie powinny być ani zbyt wielkie, ani małe, sprawiające wrażenie odciętego skądś skrawka brystolu. Najlepszy jest biały, gładki prostokąt, średniej wielkości.

Ważniejsza znacznie jest treść biletu: co zawierać powinien, prócz imienia i nazwiska. Sprawa ta we Francji, np., wywołała niedawno ożywioną polemikę w pismach kobiecych, z których jedno ogłosiło nawet ankietę na temat, czy kobiety powinny podawać na biletach swój adres i telefon.

Do niedawna, bowiem, nie wypadało absolutnie damie umieszczać na biletach adresu: było to, podług ceremonijalnej etykiety towarzyskiej, w złym guście, gdyż mogło wyglądać, w stosunku do mężczyzn, na upoważnienie złożenia wizyty! Pogląd dziwnie błahy i nieracjonalny zresztą, gdyż jeżeli kobieta nie życzy sobie czyichś odwiedzin, nie jest przecież obowiązana do ofiarowania temu komuś swego biletu, w przeciwnym zaś razie poprostu zaprasza danego osobnika.

Obecnie, wobec zmienionych do gruntu warunków życia i pracy kobiet, zasada ta musi także ulec

przewartościowaniu. Czyż można sobie wyobrazić, aby kobieta - lekarka, adwokatka, prokurentka banku, czynna, posiadająca rozległe stosunki członkini stowarzyszeń stronnictw politycznych itp., — informowała każdego ustnie o swoim adresie i numerze telefonu? Zresztą i kobiety, nie pracujące zawodowo lub społecznie, ileż razy zmuszone są zostawić adres, bądź w stosunkach towarzyskich, bądź dostawcom. Jakże pocieszenie wygląda wtedy pośpieszne dopisywanie na bilecie adresu i numeru telefonu, najczęściej niewyraźnie, „w powietrzu“ nakreślonego i powodującego liczne pomyłki i opóźnienia!

Właściwie, należałoby mieć dwa typy biletów: prywatny i urzędowy. I zasada ta może być stosowana tak przez mężczyzn, jak przez kobiety. Zarówno mężczyzna, jak kobieta, posyłając życzenia imiennowe, zaproszenie, czy komunikując kilka słów dobrym znajomym, nie potrzebują koniecznie posyłać biletu, opatrzonego adresem, który jest i tak tym osobom doskonale znany; natomiast w innych stosunkach, zawodowych, czy społecznych, czy towarzyskich dalszych, — adres i numer telefonu są konieczne.

Wreszcie najważniejsza, dla kobiet już specjalnie, zwłaszcza dla mężatek, sprawa nazwiska panińskiego i męża — oraz ewentualnych tytułów.

Pod tym względem każda racjonalnie myśląca kobieta wyrzec się powinna, mocno już zresztą nawet i w zakresie „szyku“ przestarzałej, mody tytułowania się imieniem męża. Panie Janowe, Stanisławowe i t. p., wyglądały zawsze, jakby się wstydyły swego imienia i panińskiego nazwiska. Wszyscy chyba rozumieją, że dobrane i zgodne małżeństwo nie może polegać na zatraceniu osobowości kobiety i jej występowaniu wyłącznie, jako żona swego męża, lub, co najczęściej się zdarza, chwaleniu się jego tytułem, godnością naukową, czy społeczną.

Niektórzy zwolennicy dawnego porządku podnoszą tu, na jego obronę, wzgląd natury praktycznej. Imię męża wskazać może, czy chodzi o daną panią, żonę znajomego, dopomóc może do odnalezienia adresu, i t. p.; ale gdybyśmy chcieli tem się kierować, doprowadziłoby to konsekwentnie do umieszczania na biletach wizytowych... drzewa genealogicznego, — dlaczego bowiem równie interesujące nie miałoby być dla kogoś dowiedzenie się, czyją dana osoba jest córką, lub wnuczką?

Najlepiej więc, jeśli bilet mężatki będzie zawierał tylko imię jej, oraz nazwisko panińskie i męża. Obecnie wiele kobiet nie dodaje, przy panińskim, tradycyjnego „z“, lecz łączy oba nazwiska. Jest to korzystne dla tych, które, jako lekarki, pisarki, artystki, znane były pod panińskim nazwiskiem, gdyż optycznie lepiej się ono w ten sposób uwidatnia.

Pozostaje do rozstrzygnięcia jeszcze sprawa tytułów. Wchodzi tu w grę próżność ludzka, z którą walka jest trudna. A jednak wykorzenić tę próżność jest naszym obowiązkiem.

Całe szczęście, że mniej chodzi o tytuły rodowe, to bowiem jest już oddawna rozstrzygnięte. Wszelkie korony, herby i tytuły znajduje się tylko na biletach osób, które bardzo świeżo te świetne prawa nabyły, i napewno żaden z członków starych rodów nie zatytułuje sam siebie na swojej karcie wizytowej. Gorzej jest z tytułami naukowymi, urzędowymi i społecznymi. Czy umieszczać je na biletach wogóle i czy żona ma tu błyszczeć godnością męża?

W Niemczech, gdzie tytułomania jest prawdziwą epidemją, kobiety nie chciały dotychczas wyrzec się przyjemności dodawania na swych biletach napisów: radczyni, profesorowa, ministrowa i t. p.; u nas na szczęście, obyczaj ten nie jest rozpowszechniony. Jest to, bowiem, ta sama kategoria pojęć, co występowanie pod imieniem męża.

Co do tytułów osobistych, do których obecnie coraz więcej kobiet ma prawo, to uprzywilejowanym oddawna i bezsprzecznie jest stopień naukowy, doktorat, magistrat i t. p. Przytem i tu znów zarówno dla kobiet, jak i dla mężczyzn, rozróżnić należy bilety oficjalne i prywatne. Na bilecie, posyłanym rodzinie i znajomym, zbyteczne jest wykazywanie rodzaju zajęcia, jego stopnia etc.; natomiast w stosunkach zawodowych bardzo często jest to konieczne i można nawet podać adres, lub telefon miejsca pracy, w którym dana osoba spędza większość dnia i gdzie ktoś może mieć do niej interes.

Naturalnie, że są to wszystko wskazówki zasadnicze, ogólne. O drobnych szczegółach rozstrzygać zawsze musi, zastosowany do poszczególnych potrzeb, rozsądek i dobry smak.

N. J.

POŚWIĘCENIE KAMIENIA WĘGIELNEGO PIERWSZEJ W POLSCE STACJI DOŚWIADCZALNEJ JEDWABNICZEJ

Dnia 25 listopada r. b. odbyło się w Milanówku uroczyste poświęcenie kamienia węgielnego wielkiego gmachu, mającego zastąpić dotychczasową stację jedwabniczą, mieszczącą się w prywatnym mieszkaniu pp. Witaczków. Uroczystość zgromadziła licznych przedstawicieli ministerstw i urzędów, oraz pokaźne grono mieszkańców Milanówka, którzy otaczają rodzący się w ich oczach polski przemysł jedwabniczy rozrzucając miłością.

Położenie murowanych fundamentów pod gmach centralnej stacji jedwabniczej było zarazem stwierdzeniem triumfu dobrej woli i zjednoczonych wysiłków Stanisławy i Henryka Witaczków, którzy przed czterema laty podjęli trud, zdający się przerastać

siły jednostek. Trud, przed którym cofały się wszystkie urzędy i wszystkie instytucje społeczne, którym Henryk Witaczek kolejno proponował swą bezinteresowną pracę.

Nieumiejętnie poprowadzone próby jedwabnictwa, podjęte w Polsce przed kilkadziesiąt laty, zrodziły mniemanie, jakoby jedwabnictwo nie posiadało u nas żadnych danych dla rozwoju. To też próby zainteresowania tą nową gałęzią produkcji i przemysłu poszczególnych instytucji społecznych i państwowych spotykały się z zupełną niewiarą w możliwość dobrego rezultatu, z niechęcią i odmową wszelkiego poparcia. Chcąc mimo wszystko dowieść, że jedwabnictwo może się w Polsce jaknajlepiej rozwinąć, Stanisława i Henryk Witaczkowie, ludzie młodzi i niezamożni, wzięli na siebie pracę założenia i poprowadzenia całej instytucji. W pierwszych latach istnienia, nie mogąc nikogo zainteresować swoją własną działalnością, prowadzą stację z własnych, skromnych funduszy, osiąganych przez pracę zarobkową w prywatnych biurach, nie mających z jedwabnictwem nic wspólnego.

W miarę rozwoju prac i wydatków, z pomocą przychodzi dochód ze sprzedaży drzewek morwowych, przyborów do hodowli oraz pierwszych wytkanych metrów materji jedwabnej. Podobne obroty handlowe i uzyskiwane nadwyżki pozwalają młodej instytucji na samowystarczalność finansową. Praca, podjęta z taką wiarą i taką godnością, musiała nareszcie obudzić zainteresowanie i zdobyć zaufanie, choć czekała na nie długo.

Bank Rolny udzielił kredytu na nabycie maszyn, Min. Rolnictwa zasiłku na przeprowadzenie kursów instruktorskich, pokrywając część kosztów podróży do Włoch, oraz nabycia przyrządów precyzyjnych do badania nitki jedwabnej. Przez cztery lata (1924—1928) pracują p. Witaczkowie nad rozpowszechnianiem hodowli jedwabników, rozmnażaniem drzew morwowych, szkoleniem instruktorów jedwabnictwa.

Organizują wystawy i pokazy jedwabnicze, zabiegają o zbyt na oprzędy jedwabne, zapoczątkują własny przemysł przetwórczy jedwabniczy. Jesień roku 1928 znaczy się ilością oprzędów, dostateczną do wyprodukowania dwudziestu tysięcy metrów tkaniny jedwabnej. Dwadzieścia tysięcy metrów własnego jedwabiu—to zbyt mało zapewne, aby ubrać wszystkie strojne panie, ale to wiele, bardzo wiele, jako rezultat czterech lat pracy na zupełnie nowym w Polsce terenie. To wiele, bardzo wiele, jako zapowiedź przyszłości polskiego przemysłu, uniezależnienia się od rynków zagranicznych, dobrobytu dla malarolnych, zatrudnienia dla bezrobotnych. Wszystkie kraje Europy zabrały się po wojnie do jedwabnictwa. Mądry dyktator Włoch otacza je szczególnie pieczołowitą opieką.

Jeżeli uda się tę ważną gałąź przemysłu zaszcześcić w Polsce, będzie to niewątpliwą zasługą Stanisławy i Henryka Witaczków.

wy i Henryka Witaczków, którzy przynieśli z dalekiego Kaukazu marzenie o polskim jedwabiu i potrafili swe marzenie przekuć w czyn. Czyn ich ma znaczenie nie tylko praktyczne, lecz i moralne: uczy przykładem, jaką powinna być praca w odrodzonej Polsce, gdzie wszyscy muszą zakasać rękawy i zabrać się do pracy nad odbudową wspólnego, zniszczonego przez wojnę, domu. Uczy przykładem, że wysiłek, podjęty czystymi rękoma i w dobrej sprawie, nie może zejść na marne, a pomnikiem tego czynu będzie wspaniały, murowany gmach, szerzący wiedzę jedwabniczą na całą Polskę.

Jadwiga Kiewnańska.

STYLIZACJE

Z pośród istniejących wzorów wyodrębnia się pewien rodzaj, zwany powszechnie stylizacją.

Stylizacja polega na tem, że wzięty z natury motyw: kwiat, ptak i t. p., podlega uproszczeniom tak pod względem barwy, jak i kształtu.

Cechami charakterystycznymi danego motywu będą: zestawienie barwne (jako ogólne, najbardziej bezpośrednio wrażenie barwnej całości), dalej — styl kształtów (możliwość doprowadzenia kształtu do zdecydowanego charakteru: okrągłego, wysmukłego i t. d.), wreszcie ustosunkowanie wielkości układ.

Cechy najbardziej charakterystyczne zostają specjalnie podkreślone, przez co uwidocznia się styl danego motywu. Przez odpowiednie wystylizowanie motywu wprowadza się cały szereg nowych wartości do wzorów, wzbogacając tą różnorodnością nasze wrażenia estetyczne.

Ze względu na bogactwo istniejących w naturze motywów, wydawałoby się, pozornie rzecz biorąc, iż stylizować jest bardzo łatwo. O ileż jednak łatwiej skomponować wzór z kształtów oderwanych, niż dać naprawdę dobrą stylizację! Trzeba mieć przedewszystkiem poczucie subtelności i umiar artystyczny, aby dany motyw nic nie stracił ze swych walorów estetycznych, aby interpretacja stylizacyjna podniosła te walory i nadała całej kompozycji pewien odrębny wyraz, charakter, styl.

Istnieje wiele wzorów, którym nadajemy miano stylizacji: myślę o tych wszystkich wzorach, w których pierwiastek odtwarzania motywów z natury miesza się z narzuconym i jakby wymuszonym podciąganiem do nienaturalnego układu, według pewnych schematów. Należy uświadomić sobie, iż co innego jest odtwarzanie natury w obrazie, gdzie tło, wydobyć przestrzeni, powietrze i t. d. nadaje wyraz danym motywom, gdzie, wreszcie, dużą rolę odgrywa technika malowania olejnego, akwareli, czy pasteli, pociągnięcie pędzla czy kredki wytwarza specjalny charakter, wywołując wrażenia rzeczywistości, pojętej indywidualnie. Obraz sam przez się stanowi wartość,

a nie jest wzorem do odtwarzania go w innych technikach. Materiał, z którego jest wykonany, oraz cel, jakiemu służy, pozostawia go w położeniu pionowym, wypełniając część płaszczyzny ściiennej.

Wzory do robót ręcznych są zastosowywane do poszczególnych technik, wykonywane zaś na tkaninach, podlegają tak fałdowaniu, jak i najrozmaitszemu układowi. Dlatego też wszelkiego rodzaju wysiłki odtwarzania natury zapomocą techniki rob. ręcznych dają wyniki wręcz przeciwne, wprowadzając nieporozumienie pomiędzy wykonawcą, a odbiorcą wrażeń. Występuję kategorycznie przeciw pejzażom, portretom i t. d. w robotach; są to rzeczy, odpowiadające, według mnie, smakowi figur woskowych z panoptikum.

Należy przeprowadzić linię, odzielającą te wszystkie wzory, które działają jedynie na podłoże sentymentalno-literackie, od wzorów, dających bezpośrednie wrażenie estetyczne, bez względu, czy mają odpowiedniki w naturze.

Zwracam na to specjalną uwagę, gdyż wytworzył się szablon wzorów, pozostający w znacznej odległości od prawdziwej stylizacji; szablon ten prowadzi do obwodzenia czarną linią konturu i do sztucznego układu naturalistycznie rysowanych motywów natury. Wszystkie te wzory z makami, słonecznikami, bocianami, wronami na gałęziach i t. d. są przeważnie źle rysowane, a jako wzór do robót absolutnie nie powinny mieć do nas dostępu.

Nie mam bynajmniej na myśli izolowania takich motywów, jakim może być np. słonecznik, czy mak; chodzi mi tylko o podkreślenie, iż wartość danego wzoru nie będzie polegała na tym czy innym motywie, lecz na jakości ujęcia i wykonania projektu.

Mówiąc o stylizacji, jako o ujęciu motywów, wziętych z natury, w ramy pewnego stylu, wyrażającego charakter swoisty danej kompozycji, należy pojmować ją nie tylko odnośnie do wzorów, lecz i do całego szeregu modnych dziś ozdób dekoracyjnych, jakimi są np. lalki szyte i malowane.

Widziałam swego czasu lalki dekoracyjne, wykonane w Paryżu. Lalki te, projektowane przez artystów, tak pod względem zestawień barwnych, jak kształtu i ustosunkowania wielkości (proporcji części składowych), dalekie były od jakiegokolwiek pierwotnego wzoru naturalnego. Jako zaś ozdoba dekoracyjna stanowiły niezaprzeczoną wartość, wyrażoną przez indywidualne ujęcie stylu.

Unikając szablonu i nudy banalności, należy iść konsekwentnie po linii rozwoju malarstwa dekoracyjnego, uważając, iż jest ono jedynym niezawodnym oparciem dla przyszłości robót ręcznych.

Wanda Młodożeńcowa.

WŁOSÓW WYPADANIE I ŁUPIEŻ USUWAJĄ
ESENCJA I MYDŁO
CHINOWO-CHMIELOWE (z „KOGUTKIEM”).
 SPRZEDAJĄ APTEKI, SKŁADY APTECZNE
 I PERFUMERJE. — GŁÓWNY SKŁAD:
 APTEKA AGAŃSECKIEGO W WARSZAWIE, FRETA 16.

ODŻYWIANIE A ZDROWIE

Nauka o żywieniu jest bardzo nowa. Wiele doświadczeń nad żywieniem zwierząt zostało zużytkowanych w hodowli i stąd ludzie doszli do wniosków, że przez odpowiednie żywienie krowy dają więcej mleka, świnie i bydło prędzej się opasają, kury są bardziej produkcyjne, a wogóle zwierzęta, przy racjonalnym żywieniu, są odporniejsze na choroby.

Rolą medycyny dzisiejszej jest raczej zapobieganie chorobom, a nie leczenie. Dlatego to nauka o żywieniu ludzi, zwana dietetyką, ma dziś ogromne znaczenie i znajomość jej musi być powszechna. W artykule niniejszym pragnę zapoznać czytelników nie tylko z zasadami dietetyki, ale również z terminologią tej nowej nauki, bo coraz więcej się o niej słyszy, a rzadko trafia się sposobność uzyskania objaśnień. Skoro bowiem z dziedziny medycyny, inżynierji czy radjotechniki terminy techniczne są już powszechnie używane i znane, dlaczegoż nie mielibyśmy przyswoić sobie terminów naukowych z nauki o żywieniu, która jest tak bardzo związana z naszym codziennym życiem.

W czasach pierwotnych człowiek żywił się produktami naturalnymi, których dostarczała przyroda: owocami, dziką zwierzyną, nieprzerobionem na mąkę ziarnem, warzywami (często surowymi), czasem miodem i jajkami. Stopniowo człowiek zaczął przerabiać produkty, których dostarczała natura, oraz sprowadzać produkty z innych krajów.

W XIX wieku zaszły największe zmiany, co do rodzaju pożywienia w różnych częściach świata. Te zmiany odbyły się tak stopniowo, że starsi ludzie nie zorientowali się w zmianach, jakie zaszły podczas ich życia. Często się teraz słyszy, jak ludzie starej daty mówią: myśmy nigdy nie martwili się, czy dostarczamy organizmowi t.zw. witamin; nie żyliśmy według diety, określonej przez doktora, i byliśmy zdrowi.— Nie zdają sobie sprawy, że byli zdrowi, właśnie żywiąc się przeważnie naturalnymi produktami. Dzieci karmione były pokarmem matki lub mamek. Cukier i biała mąka były trzymane pod kluczem i podawane tylko podczas uroczystości. W miarę jak te dwa produkty weszły w użycie powszechne, — cukrzyca, rak i inne choroby zaczęły się bardzo szerzyć. Gdy powstały fabryki różnych drobnych kasz, konserw — ludzie zaczęli zapadać na szczególne choroby. Dotąd właściwie niewiadomo, co z tych produktów zostało usunięte lub dodane. Przekonano się jednak, że nie tylko naturalne produkty są najzdrowsze, ale również, że najlepiej jest odżywiać się takimi produktami, które są miejscowe. Wiadomo już, że w tych naturalnych produktach są pewne substancje, niezbędne dla zdrowia: nazwano je witaminami. Pierwsza część tego wyrazu — „wita” — oznacza życie, to znaczy, że są potrzebne do życia; druga część wyrazu — „aminy” — tłu-

maczy, że w swoim składzie chemicznym zawierają aminy.

Nie udało się jednak wyisobnić czystą witaminę i tylko na drodze biologicznej, t. j. pewnych doświadczeń nad życiem zwierząt, wywnioskowano, że brak tych substancyj wywołuje różne choroby. A więc najpierw przekonano się, że zwierzęta, żywione polerowanym ryżem, zapadały na chorobę nerwów, zwaną polyneumis (u ludzi zwą ją beri-beri).

Choroba ta u ludzi objawia się przez ostre nerwowe zaburzenia przewodu pokarmowego. Następuje paraliż i śmierć.

Gdy choroba ta jest jeszcze w pierwszym stadium, można ją opanować, dając całe ziarno albo chleb z całego ziarna, lub ryż z łuską. Przez te doświadczenia przekonano się, że taką samą wartość zapobiegawczą chorobie beri beri mają następujące produkty: kartofle, gruba kasza jęczmienna, fasola, mąka żytnia, mleko i drożdże. Produkty, które nie zawierają tej zapobiegawczej substancji, tj. witaminy B, są: biały ryż, tapioka, sago, biała mąka i wogóle wszelkie produkty, które są sterylizowane. Następną chorobą, spowodowaną również zupełnym brakiem witaminy, zwanej B2, jest pellagra. W Ameryce jest bardzo rozpowszechniona w południowych Stanach, gdzie ludzie trzymają mało krów (w plantacjach bawełny) i wogóle zwierząt domowych, żywią się zaś wyłącznie słoniną, mącznymi potrawami, warzywami i melasą. Choroba ta objawia się łuszczeniem skóry, zaburzeniami przewodu pokarmowego, w ostrych wypadkach doprowadza do pomieszania zmysłów. Witamina B2, jak się okazało, znajduje się w produktach, zawierających także witaminę B, szczególnie drożdże i kielki pszenicy obfitują w owe witaminy. Najbardziej uderzającą różnicę w rozpowszechnieniu tych 2-ch witamin stanowi to, że mięso jest bardzo ubogie w witaminę B, tj. zapobiegającą chorobie beri-beri, zaś bardzo bogate w witaminę B2. Np. drożdże przez odpowiednie procesy mogą być pozbawione witaminy B, a witamina B2 zostaje i może zapobiegać chorobie, zwanej pellagrą. Wogóle brak witaminy B powoduje szybko, po kilku tygodniach, chorobę, zwaną beri-beri, a brak witaminy B2, aby spowodować chorobę, wymaga dłuższego czasu.

Konieczność dostarczania organizmowi świeżych owoców i warzyw była znana przed odkryciem witamin. Na okrętach, podczas podróży, ludzie cierpieli na t.zw. szkorbut, chorobę dziąseł, i z tego umierali, ponieważ jedli wszystko gotowane, lub konserwy. Dodatek świeżych owoców, a szczególnie pomidorów, pomarańcz i cytryn, lub umiejętnie gotowanych warzyw, nie tylko zapobiega tej chorobie, ale może ją wyleczyć.

Witaminę tę nazwano witaminą C. Wszystkie te witaminy: A, B2 i C są rozpuszczalne w wodzie, czem się różnią od II-ej grupy witamin, które się rozpuszczają w tłuszczach. Do tych ostatnich należą t. zw.

witaminy A i D, znajdujące się w maśle, śmietanie, tranie, w tłuszczu nerkowym i tłuszczu, który się znajduje w żółtku jaja.

Zielone warzywa, jak szpinak, sałata, są również dobrym źródłem witamin A i D, znajdujących się też w świeżej kapuście, marchwi, pomidorach. Gdy ilość witaminy A w dziennym pożywieniu jest b. mała, i gdy nawet jest obfitość innych witamin, oraz gdy dieta skądinąd jest racjonalna, tj. gdy składa się z mięsa, warzyw, potraw mącznych, zup, okraszonych słoniną, a nie masłem,—brak witamin A i D ujawnia się w spadku wagi, w niezwykle słabej odporności na choroby infekcyjne. Dzieci w Danii podczas wojny, gdy były zupełnie pozbawione masła (wysyłanego do zaangażowanych w wojnie krajów) i żywione mlekiem odtłuszczonym, zapadały na chorobę oczu, zwaną xerophthalmią. To samo było w Japonii. Choroba ta kończyła się często ślepotą. Dodatek tranu, który jest niezwykle bogaty w obie witaminy A i D, zapobiegał tej chorobie. Dzięki witaminie D, znajdującej się w tranie, dzieci, skłonne do rachityzmu, mogą być wyleczone. Rachityzm, tak powszechny u dzieci, jest spowodowany nietylko brakiem soli wapniennych i fosforowych, które formują kości, ale właśnie brakiem witaminy D, bez której formowanie kości jest niemożliwe.

Zaobserwowano, że witamina D tworzy się w organizmie przez naświetlanie promieniami słonecznymi lub lampą kwarcową. Brak witaminy D, która może być utworzona w ciele pod wpływem naświetlania, jest rzeczywistą przyczyną rachityzmu, ale dieta, wywołująca rachityzm, charakteryzuje się przez nadmiar mącznych potraw, a więc dzieciom trzeba

zmniejszyć ilość mącznych potraw, cukru, zamiast dodawania do takiej diety tranu lub mleka.

Obecnie zaczynają odkrywać inne witaminy, które w dalszym ciągu nazywają literami alfabetu E, F, ale narazie nie będziemy się nimi zajmować.

Studując sposób odżywiania w Polsce, przekonałam się, że dla dzieci najlepszym źródłem zapobieżenia chorobom, np. rachityzmowi, byłoby zwiększenie konsumpcji mleka, które zawiera potrzebne sole i witaminy, i jeżeli nie zwiększenie ilości warzyw, to w każdym razie umiejętne ich gotowanie.

Witaminy i sole mineralne, tak obficie występujące w mleku, warzywach i owocach, są jednak tylko dodatkowymi czynnikami w naszym pożywieniu, tj. regulują przemianę materji w organizmie, nie dają jednak ani ciepła, ani energii (dostarczanych przez węglowodany i tłuszcze głównie), ani też materiału budowlanego (dostarczanego przez białko).

Witaminy z grupy rozpuszczających się w tłuszczach, tj. A i D, nie ulegają zmianom w zetknięciu się z powietrzem lub podwyższoną temperaturą, w przeciwieństwie do witaminy C.

Sole mineralne, szczególnie wapienne, fosforowe i żelazowe, ulegają również niepożądanym zmianom chemicznym w podwyższonej temperaturze przy jednostronnej diecie, t. j. zbyt obfitej w kwasy lub zasady, czy dającej przewagę jednemu z trzech składników pokarmowych: węglowodanom, tłuszczom lub białku. Stąd też niezbędne jest jak najgłębsze zrozumienie podstaw normalnej, zrównoważonej diety (balanced diet), zanim się poczyni jakiejkolwiek kroki w celu poprawy naszego odżywiania.

(d. c. n.)

Marja Morzkowska.
Magister dietetyki.

Z DZIEDZINY — — KOSMETYKI C E R A

Zima zbliża się szybkimi krokami, a za nią niepogody, szarugi i deszcze. Fatalna pogoda ujemnie oddziałuje na cerę. Aby uchronić twarz swoją od szkodliwego działania wiatrów, deszczu i niepogody, każda z pań wychodząc na powietrze, powinna lekko natrzeć twarz **kremem Abaridowym**, który nie jest tłustym, doskonale wciera się do sucha i jest wprost niezastąpionym pod puder. Po natarciu twarzy **kremem Abaridowym**, nie jest konieczne pudrowanie, dobrze jest jednak cokolwiek twarz przypudrować **pudrem Abaridowym**, który jest zupełnie nieszkodliwym, gdyż nie zawiera części mineralnych, tylko roślinne, a między innymi sproszkowane cebulki lilji białej (lilja Candida).

M-me Erçèdes.

**Skład główny: Warszawa, Szpitalna 10.
Perfection.**

*Przed świętami każda pani domu
powinna kupić książeczkę p. t.*

„POTRAWY WIGILIJNE“

*bo znajdzie w niej sposoby oszczędnego
i praktycznego urządzenia wylgi i przy-
- gotowania tradycyjnych potraw. - -*

Cena 1 zł. 50 gr.

Z przes. poczt. 1 zł. 80 gr.

Wysła Administracja — Warszawa, Plac Zamkowy 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub na konto P. K. O. T-wa Wydawniczego „Bluszcz” Nr. 13,555.

PRZEPISY GOSPODARSKIE

KONSERWY Z ZAJĄCA

Ponieważ obecnie jest na rynku dużo zajęcy, a w tym roku podobno sezon polowania na nie ma być znacznie skrócony, chcę przypomnieć gospodyniom sposób przechowania przez czas dłuższy tej zwierzyny, polecany w swoim czasie przez ś. p. panią Henikowską, pierwszą u nas w Polsce propagatorkę sterylizowania produktów spożywczych. Zajęce, oczyszczone, jak zwykle, i starannie obdarte z kilku pokrywających je błon, należy opłókać lekkim octem, nie mocząc w nim jednak, gdyż upieczone, a potem sterylizowane w słojach, stają się same przez się bardzo kruche. Combry i uda tylne naszpikować gęsto słoninką i upiec z masłem lub szmalcem. Gdy ostygną, porąbać dowolnie: na takie kawałki, jak do podania na stół, lub też na kawałki, odpowiednie do wysokości słoja, w którym je mamy sterylizować. W pierwszym i drugim wypadku układamy je najszczelniej w słoju. Tutaj znowu możemy postąpić dowolnie. Bądź zalać je tłuszczem, w którym się piekły, dodając do niego topionej słoniny, bądź też zaprawić sos mąką i śmietaną, jak zwykle do zajęcia i zalać je wystudzonym zupełnie takim sosem. Słoje powinny być napełnione w taki sposób, aby pozostawało na wierzchu na dwa palce swobodnej przestrzeni. Po zamknięciu sterylizujemy mięso przez godzinę, licząc od chwili zagotowania, przy temperaturze 98—100 stopni Celsjusza. Po 24 godzinach powtarzamy sterylizowanie w ciągu 15 minut. Pozostałe wnętrzności i przodki zajęcia należy przerobić na pasztet, według któregośkolwiek z podawanych w „Bluszczu” przepisów, przełożyć do mniejszych słoików i również zasterylizować. Tak przyrządzone konserwy z zajęcia można używać przez całą zimę i wiosnę, do końca kwietnia. Przez lato trzymać ich stanowczo nie radzę. Na przedśny użytek można gotowy pasztet przełożyć do terynki od pasztetów strassburskich lub do małych, kamiennych garnków, zalać stygnącym, topionym łojem baranin i przechowywać w zimnym, suchym miejscu. Dadzą się tak przechowywać do sześciu tygodni. Przed podaniem, łój należy, oczywiście, odrzucić.

ŻÓRAWINY NA SAŁATĘ

Gdy żórawiny już dobrze przemarzną i tracą swą gorycz, można je użyć na sałatę, w niczem nie ustępującą borówkom. Na kilo żórawin brać 75 deka cukru, ugotować zeń syrop, biorąc szklankę wody na dwie szklanki cukru. Wrzucić opłókałe i osuszone żórawiny i gotować na wolnym ogniu. Tymczasem oczyścić na każde kilo żórawin pół kilo kwaskowych jabłek, pokrajać na ćwiartki. Gdy żórawiny już na wpół usmażone, wrzucić jabłka i dalej gotować razem, aż się jabłka zupełnie rozgotują i cała konserwa stanie się przezroczysta. Kto lubi zapachy, może, gotując, do-

dać wanilii, skórki pomarańczowej lub cytrynowej, drobno pokrajanej, cynamonu lub goździków. Gorącą sałatę składać do słoików, w których, stygnąc, zetnie się na gęstą galaretę. Kto woli konserwę bardziej słodką, może brać więcej cukru — całe kilo na kilo żórawin.

TARTYNKI TORTOWE W CZARNYM CHLEBIE

Na czarny chleb formowy, wagi jednego kilo, należy wziąć 40 deka masła, tyleż białego sera śmietankowego lub chociaż najświeższego twarożku i trzydzieści deka sera ostrego: chester, szwajcarski, lub dobry litewski. Po równem skrajaniu skórki z chleba, należy go pokrajać napłask na cienkie płatki półcentymetrowe. W tym celu należy brać chleb wczorajszy: ze świeżego nigdy się nie da nakrajać ładnych, równych plastrów. Teraz smarujemy każdy kawałek kolejno masłem, przykrywamy pierwszy serem śmietanowym, na to kładziemy kawałek chleba, posmarowany masłem, i lekko przyciskamy. Drugą stronę chleba, znów posmarowaną masłem, pokrywamy serem ostrym i znów płatkami chleba z masłem. Tak się postępuje, aż się zużyje połowę chleba. Układa się całą bryłkę na deseczkę, przyciska drugą deseczką i ciężarkiem, poczem z drugiej połowy chleba przygotowuje się drugą taką samą bryłkę. Dobrze przyciśnięte, trzymać parę godzin na chłodzie. Przed podaniem należy bardzo ostrym nożem, maczanym od czasu do czasu w zimnej wodzie, przekrajać naprzód każdą bryłkę wzdłuż, poczem krajać z niej cienkie płatki i układać natychmiast na paterach, aby się nie rozpadły. Wyborna przekąska — dużo oryginalniejsza, niż większość tartynek; ma przytem wygląd bardzo estetyczny.

CZERNINA Z DRÓBEK KACZYCH LUB GĘSI

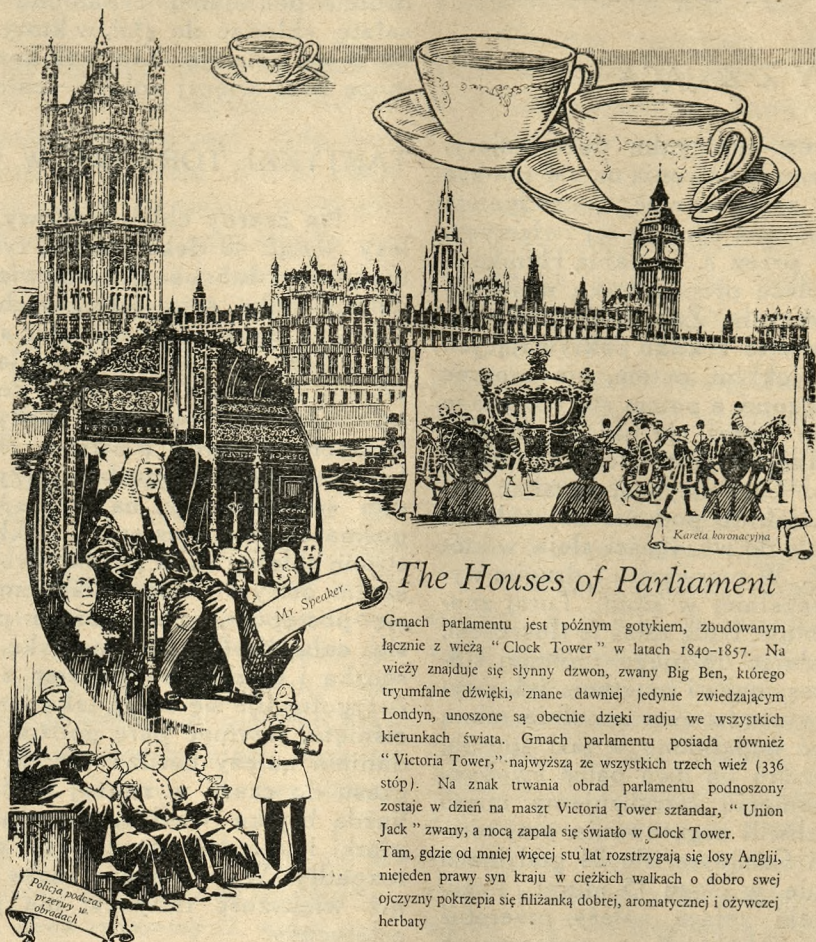
Przy biciu kaczek lub gęsi, krew zebrać w miseczkę, zalać łyżką winnego octu, posolić, rozbić mocno łyżką, aby nie skrzepła, i postawić na chłodzie, gdzie dni trzy lub cztery, przykryta od kurzu, stać może. W Warszawie, gdzie się drób zwykle już bity kupuje, można we wszystkich prawie handlach drobiu dostać krwi kaczek na czerninę. Ugotować rosół, biorąc dróbki z dwóch kaczek lub z jednej gęsi (wątróbek nigdy gotować w rosolu nie należy, gdyż udzielają mu goryczy), dodając włoszczyzny i korzeni, jak zwykle. Oddzielnie udusić 15 deka śliwek lub jabłek suszonych, zalanych niedużą ilością tegoż rosółu, wraz z dziesięcioma deka drobno pokrajanej młodej słoninki i dobrą łyżką cukru. Owoce powinny być bardzo miękkie, rozgotowane. Nakoniec zrobić krajane kluseczki z jednego żółtka, 15 deka mąki, odrobiny soli i wody. Kluseczki pokrajać, jak na drobne łazanki, i ugotować w osolonym wrzątku. Uduśzone owoce i kluseczki włożyć do wazy. Krew rozbić z łyżką mąki, rozprowadzić rosółem, aby raptownie wlana się nie zwarzyła, wymieszać z resztą zupy, zagotować raz i wylać do wazy. Dróbki podaje się oddzielnie, lub używa do makaronu po medjolańsku, czy do risotto.

Pani Elżbieta,

ZIMOWĄ PORĄ TYLKO WYPRÓBOWANY
BOROL CENTRALNEGO LABORATORJUM CHEMICZNEGO

... zapobiega opierzchaniu rąk i twarzy. ...

HEMOROIDY CZOPKI **VARICOL**
HEMOROIDALNE
USUWAJĄ BÓL, SWĘDZENIE, PIECZENIE I KRWAWIENIE. ZMNIEJSZAJĄ GUZY (ŻYŁAKI). — SPRZEDAJĄ WIEKSZE APTEKI. — SKŁAD GŁÓWNY — APTEKA AGAŃCECKIEGO, W WARSZAWIE, UL. FRETA 16.
ORYGINALNE Z MARKĄ FABRYCZNĄ „KOGUT”



LYONS' TEA

Lyons' Tea podają we wszystkich lepszych kawiarniach i cukierniach. Herbata ta słynie w Anglii od wielu lat. Zarówno dla Was, jak i dla każdego innego kraju specjalnie i w różnych wielkościach opakowana, aby wszelkim wymaganiom zadośćuczynić.—



WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocznie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu”—Warszawa, Krak.-Przedm. 99. Konto P.K.O.—Warszawa 3700

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.
 Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelną) i MARJA PODHORSKA OKOŁÓW
 Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40.
 Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Rymarska 8, tel. 244-18.